

13461/22

CZŁOWIEK I MAŁPA.

OSTATNIE SŁOWO

DARWINA.

STUDIUM

Dr. STEFANA PAWLICKIEGO.

LWÓW.

Nakładem Seyfartha i Czajkowskiego.

1872.

CZŁOWIEK I MAŁPA.

OSTATNIE SŁOWO

DARWINA.

STUDIUM

Dr. STEFANA PAWLICKIEGO.

LWÓW.

Nakładem Seyfartha i Czajkowskiego.

1872.

319

332157

II

K-73/13461

25.9.

30,-



OSTATNIE SŁOWO DARWINA.

(Pierwsza praca Darwina „o początku rodzajów“ — zmiana jego wyobrażeń — Książka o „pochodzeniu człowieka“ — autor został zupełnym materyalistą — stosunek jego do niemieckich ateuszów i dawna hypokryzya. — Krótki przegląd systemów podobnych do darwinizmu — treść samego systemu — rozbiór krytyczny jego głównych 'czynników — autor jest wielkim uczonym a słabym myślicielem — elekcyja naturalna — niejasne przenośnie materyalistów — fałszywa analogia jest podstawą darwinizmu — logika Hegla i logika materyalistów. — Darwin znosi rodzaje i gatunki, prawdziwa nauka ich broni — definicyja rodzaju — rodzaje i gatunki nie są zmienne, jak sądzi Darwin, lecz stałe — dowody naukowe — Darwinizm i geologia — Darwinizm i nauka chrześcijańska — streszczenie całej sprawy darwinizmu przed trybunałem nauki).

Upływa lat dwanaście, jak Darwin, znakomity angielski zoolog, ogłosił dzieło „o początku rodzajów“. Imię jego odrazu nabrało wielkiego rozgłosu w świecie naukowym, do tego stopnia, że dzisiaj już liczna i ruchliwa szkoła uznaje go mistrzem i głową swoją. W tej jednak sławie było coś sztucznego, nawet nieszczerego.

Albowiem książka, jakkolwiek świadczyła o wielkim darze spostrzegania i niezmiernej erudycyi, nie stanowczo nie dowiodła, raczej z góry rachowała na zu-

pełne i dobrodusze zaufanie czytelnika. Autor zmuszony wydać ją prędzej, aniżeli zamierzał, streścił w krótkości grube folianty, napełnione notatkami z własnych, długoletnich badań i podróży. Dla tego dowody pozostawił w tece. Jeżeli mimo to hipotezę jego (bo inaczej nazwać nie można teorii bez dowodów), przyjęli materyaliści z nadzwyczajnym entuzjazmem, jest w tem dowód, że nie chodziło im o prawdę, lecz jedynie o za spokojenie namiętności.

A jednak książka była dla nich niedogodną. Autor na pierwszym miejscu stawia Stwórcę; od Niego wywodzi pierwsze zwierzęta i rośliny na ziemi, które później przemienić się miały w dzisiejsze tak liczne rody. Prawda, że owe przemiany jednych zwierząt w drugie, były wodą na młyn materyalistów, ale nie życzyli oni sobie wcale mieć Stwórcę za młynarza. Dla tego pierwszy tłumacz Darwina, zmarły profesor Bronn, protestował przeciw tak „nienaukowemu“ przypuszczeniu, gubiącemu i siebie i teorią całą. Jeżeli Opatrzność, tak on rozumował, stworzyła ośm lub dziesięć pierwszych form organicznych, to mogła wszystkie inne także stworzyć, a wtedy cud góruje nad prawami przyrody. My zaś ani Stwórcy ani cudów nie chcemy — precz z cudami.

Inni pocieszali się razem z Büchnerem, że autor w gruncie ateusz, jedynie przez wzgląd na biblijne przesady swoich ziomków, wyraża się ostrożnie, prawowiernie. Inni nareszcie, jak Vogt, nie posiadali się z radości, że nareszcie „Stwórcę wyproszono za drzwi“, a nie pytając o osobiste przekonanie religijne autora, wynosili samą książkę pod niebiosa i zrobili

z niej czempredzej nowy wał obronny dla swoich mocno już pokiereszowanych doktryn.

U nas w Polsce nie wiele zajmowano się Darwinem. Czasopisma nasze zawierały rodzaj cichej, bardzo wygodnej umowy, żeby nie wspominać nigdy o głośnych książkach z obcej literatury. Jeżeli czasem zrobią wyjątek z tej powszechnej zasady, to zazwyczaj bardzo późno i bez wyboru. Prawda i to, że zaraz po ukazaniu się książki Darwina, przechodziliśmy przez długi szereg strasznych wstrząśnień politycznych, wśród których trudno było zachować potrzebną swobodę myśli, aby zajmować się hipotezą jakiegoś zamorskiego zoologa. Dopiero w r. 1865, jeżeli dobrze pamiętam, dr. Matecki w Poznaniu, miał kilka wykładów publicznych o Darwinie. Jako odpowiedź na nie, ukazała się w *Tygodniku Katolickim* obszerna praca, która jednak nie oparta na samej książce „o początku rodzajów” i w skutek tego wiele pomysłów p. Mateckiego przypisująca samemu Darwinowi, nie miała powodzenia wśród uczonych naszych.

W tym stanie rzeczy przed dwoma laty ośmieliłem się podać w *Przeglądzie Polskim* (r. 1870, luty) rozbiór systemu Darwina tak, jak się on naprzód był ukazał. Pochwaliłem co mniemałem że zasługuje na uznanie, a chociaż musiałem potępić jego myśl zasadniczą, starałem się oddzielić ją od pseudo-darwinizmu w pismach Vogta i Büchnera. Dowodziłem, że ci panowie niesłusznie wyciągają z Darwina materialistyczne konkluzje i że on sam dalekim jest od nich, jak niebo od ziemi. W tych wszystkich twierdzeniach opierałem się na samym autorze, którego teo-

ryą rozbieżna, biorąc to co napisał, za szczerzy wyraz jego przekonań.

Muszę tu wspomnieć, że jednego z moich uczonych przyjaciół, którego sądzę wysoko poważam, ubodło tak życzliwe, jak mówił, obejście się z Darwinem. Zarzucał mi, że Darwina nauka nic innego nie jest, jak zamaskowany materyalizm. Zarzutu tego przyjąć od razu nie mogłem, bo był więcej domysłem, niżli dowiedzionym sądem.

Pokazało się niestety, że domysł był trafny. W Darwinie wielkie zaszło przeobrażenie. Idąc w trop za metamorfozami zwierząt, sam najfatalniejszej uległ metamorfozie, bo z człowieka, który wierzył w Boga, stał się ateuszem. Został nim jawnie, bo w sercu był nim zawsze, jak teraz wyznaje publicznie. I w tem jego obłuda. Smutne są dzieje tej obłudy.

System Darwina został zaraz po ukazaniu się źle przyjęty przez mistrzów zoologii i paleontologii. Sam w pierwszej swojej książce ubolewa, że żaden sławniejszy uczony do jego teorii się nie przychylił. Wielu sławnych fizyologów i zoologów wystąpiło nawet przeciwnie. Za to materyaliści, niezrażeni jego wiarą w Stwórcę, a może schlebując sobie, że go nawrócą kiedyś, chwalili go ciągle i wytrwale, przy każdej sposobności i na wszystkie tony. Stawiali go na równi z Kopernikiem, Keplerem, Newtonem, a prof. Haeckel datuje nawet od niego nową erę ludzkości!

Jednakże przy chwalebnym nie zapominali domagać się spełnienia obietnicy. Księga „o początku rodzajów“ była hipotezą bez dowodów; te przyrzekł był autor dać później. I jakoś zaczął się uiszczać z wolna z danej obietnicy. W r. 1868 wydał obszerną pracę „o

odmianach swojskich zwierząt i roślin". (*Das Variiren der Thiere und Pflanzen im Zustand der Domestication* — przekład Carus'a), która jednakże, podobnie jak pierwsza, co do pochodzenia człowieka roztropne zachowała milczenie.

Materyaliści znowu czekali, chwalili, wybiegali naprzód, podsuwali mistrzowi gotowe już konkluzje, utyskiwali głośno, że waha się uczynić krok ostatni, stanowczy. Nareszcie ukazała się dwutomowa książka „o pochodzeniu człowieka”. Prof. Carus, tłumacz drugiej pracy Darwina, zaraz z ukazaniem się angielskiego oryginału, ogłosił znowu przekład niemiecki w Stuttgardzie r. 1871. Praca ta od dawna wyglądana, prześcigła najśmielsze oczekiwania ateuszów, bo wszystko, co tylko pp. Vogt i Büchner na wiatr rozpowiadali o naszym pokrewieństwie z małpami, poważny Darwin powtarza niby w imieniu nauki, na mocy badań śmiałych i sumiennych. Oddał on materyalizmowi wielką usługę. Właś weń nowe, potężniejsze życie, zaczerpnięte niby z nieśmiertelnego źródła nauki.

W przedmowie, z cynizmem, godnym materyalisty, oświadcza na samym wstępie, że jedynie dla tego nie zastosował już dawniej teorii swojej do człowieka, aby móżdż lepiej trafić do przekonania wszystkich, czyli, że piękne słowa o wszechmądrości i wszechpotędze Stwórcy, któremi przed dwunastu laty hojnie szafował, były tylko pustą gadaniną, aby nie spłoszyć ludzi wierzących.

Ta sama przedmowa ma także swoją komiczną stronę. Dowiadujemy się z niej, że do wydania książki ośmieliły autora słowa Vogta, powiedziane w Genewie w r. 1869, że nikt już w Europie nie śmie bronić stworzenia rodzajów zwierzęcych i roślinnych (*personne, en*

Europe au moins, n'ose plus soutenir la création indépendante des espèces).

Że znany p. Vogt coś podobnego powiedział, nie dziwimy się temu wcale, ale nie rozumiemy jak poważny człowiek mógł na mocy takiej tuzinkowej powagi pospieszyć z przystąpieniem do materyalizmu. Zupełnie zaś niepojętem jest, jak Darwin zaraz po słowach Vogta może ubolewać nad tem, „że ze starszych i znakomitszych naczelników nauk przyrodzonych niestety wielu jeszcze opiera się“ jego systemowi. Tylko w wieku XIX, przy zupełnym upadku logiki i pomieszaniu wszelkich pojęć, czytać można podobne illogizmy na tej samej stronicy!

Smutniejszym jednak objawem pozostaje obłuda. Nie można się było jej spodziewać po starcu, który jedną nogą już w grobie, ma przecież tyle powodów do zastanowienia się nad tem, co mówi i czyni. Starzec ten dodaje, że nic nie przynosi nowego, lecz powtarza tylko myśli znakomitych badaczy, i tu wylicza szereg znanych materyalistów, pp. Vogta i Büchnera, nareszcie niezrównanego prof. Haeckla, któremu się pierwsza należy nagroda za wyprowadzenie człowieka z małych robaczków. Dla Haeckla, którego w żadnym razie nie można brać za poważnego myśliciela, zniża się angielski zoolog do niesłychanej adulacji, powiadając, że gdyby tamten swoją „przyrodzoną historję stworzenia“ był wydał kilka lat prędzej, on, Darwin, nie byłby nigdy kończył swojego dzieła. uważając je za niepotrzebne.

Gdy więc w ten sposób Darwin zupełnie innym, aniżeli przed dwunastu laty, się przedstawia, oczywiście

to, co dawniej o nim pisałem, wymaga także odpowiedniej zmiany. Uważam się obowiązany ukazać publiczności tego pisarza w nowem świetle, nie wedle pierwszej jego pracy, leez wedle ostatniej. Treść jej zamyka się mniej więcej w tych słowach: pierwsi ludzie byli okryci grubą sierścią, mieli uszy szpiczaste, ruchome, nogi chwytkie, ciało zakończone muszkułarnym ogonem; bronili się straszliwemi kłami a mieszkali na drzewach w jakimś kraju ciepłym i leśnym. (Tom I. str. 180 wyd. Carus'a).

Oto ponętny obraz przodków naszych; na wymalowanie jego zbierał angielski zoolog kolory przez całe długie życie. Doprawdy, było się poco mozolić, aby skończyć na podobnym rezultacie w poważnych badaniach. Dziwić się trzeba, że lice tego starca nie zapłonęły żarem wstydu, gdy w złej godzinie przyszła mu pokusa coś podobnego napisać.

On sam powiada, że to nie jest nowe — i ma rację. Ale system jego o wiele jest dawniejszy, niż sam sądzi. Nie pp. Vogt i Haeckel go wymyślili, bo już tysiące lat przed nimi mniemano, że wilgotna ziemia pod działaniem słońca wydała pierwsze twory organiczne, które potem zmieniając się pod wpływem zewnętrznych warunków życia i wewnętrznych popędów, rozrodziły się w dzisiejsze rośliny i zwierzęta, a w końcu i w ludzi. Myśl tak stara, jak sam materyalizm; bez niej on zgoła istnieć nie może

Greccy materyaliści zawsze tak uczyli, o czem łatwo przekonać się można z ułamków po nich pozostałych. Przytoczę jednego Anaksymandra ze szkoły jońskiej. Dowodził, że cała powierzchnia ziemi niegdyś

okryta była morzem i że w morzu powstały drogą samorodztwa pierwsze organiczne istoty. Następnie gdy morze zaczęło opadać i cofać się, biedne ryby i ślimaki pozostawione na lądzie, musiały chcąc nie chcąc zastósować się do nowych warunków życia. Potraciły zwolna swoje płetwy i skorupy i zamieniły się w bestye czworonożne, a nareszcie w ludzi. Cały darwinizm zawarty jest w tej nauce starożytnego mędrca, któremu wiele wybaczyć trzeba dla grubej nieznajomości fizjologii i geologii, w jakiej zostawał, a więcej jeszcze dla ciemności, w jakiej obracały się nawet wybrane umysły przed objawieniem chrześcijaństwa.

W nowszych czasach wszyscy ateusze powtarzali z nowomodnemi dodatkami naukę starego Anaksymandra, ale poważnemi dowodami nie umieli go poprzeć. Nie wspomnę tutaj o filozoficznych pomysłach Wielkiego Getego i sławnego Okena, których teorye niegdyś całą Europę napełniły wrzawą a zoologów wyzwały do namiętnej wojny domowej; ani o Erazmie Darwinie, dziadku Karola, którego teorya widać odżyła w wnuku, jak choroby przodków powtarzają się w późnych potomkach. Ograniczę się do kilku Francuzów, któremu to narodowi dostało się od Opatrzności dziwne przeznaczenie, jak w dobrem, tak i w złem przewodniczyć innym ludom.

Już w roku 1748 niejakiś p. Maillet ogłosił pod pseudonimem Telliameda w Amsterdamie „rozmowy indyjskiego filozofa z misjonarzem francuzkim“. Grasowała wtedy nad Sekwaną moda, ubierać płaskie, jednodniowe dowcipy w poważną szatę wschodnich mędrców. Dowodził Telliamed, że rozmaite zielska zamieniły się w krzaki a krzaki w drze-

wa, że ryby, wyskakujące często nad wodę, zrazu płetwami przez kilka chwil latały, potem przypadkiem rzucone wiatrem na drzewa, nie mogąc powrócić do wody, ujrzały się w smutnej konieczności zostania ptakami. Wszystko w tym systemie idzie jak z płatka. Człowiek był zrazu rybą a za czasów autora, tak zaręczał, można było napotykać po morzach istoty, które do połowy były jeszcze rybami, a do połowy już ludźmi. I ci kiedyś zamienią się w ludzi całkowitych.

Sława biednego Telliameda trwała bardzo krótko. Zabił go Wolter swoim sardonicznym śmiechem. Oto, co napisał o nim: „Pan Maillet przekonał się w Kairze, że w odległej starożytności ląd stały był niezmiernem morzem. Zobaczywszy muszle, tak rozumuje: te muszle dowodzą, że przez tysiące wieków morze zalewało Memfis, a zatem Egipcianie i małpy niewątpliwie pochodzą z ryb morskich“. Po tym wyroku Telliamed żyć przestał, i nie mówiono więcej o nim. Jednakże myśl jego pokutuje dalej w pismach materialistów.

Na początku tego wieku (r. 1809) słynny Lamarck wydał „filozofią zoologii“. Zrobiła więcej wrażenia, aniżeli dzisiaj książka Darwina, wywołała niesłychane spory a w końcu została zapomniana. Współużyto los wszystkich błędów; wszystkie idą w zapomnienie i nie wracają więcej. Lamarck zresztą nie był pospolitym człowiekiem, czasem ma nawet połyski geniuszu. Jednakże i jemu przyszła pokusa, że człowiek w prostej linii rodzi się z jakiegoś polipa. Pokusie tej uległ i na niej system swój osnuł. Uczył, że pierwsze robaki powstały z ciepłego szlamu (tak zwykle materializm zaczyna), te później zamieniły się w ślimaki,

nareszcie w ryby, gady, ptaki, ssące zwierzęta i ludzi. Powód do ciągłych przemian upatrywał Lamarck w zewnętrznych warunkach życia, które zmieniając się, zmuszały organizm do przybrania odpowiedniego ustroju. Zwierzę, ujrawszy się w nowych warunkach. wyrobiło sobie ciągłą pracę i ćwiczeniem organ potrzebny, a dawniejsze organa, teraz już niepotrzebne, zmarniały. Ptak lądowy np. szukając pokarmu, wchodził do wody, oczywiście z wielkim wstrętem, a zobaczywszy w oddaleniu żer jakiś, usiłował do niego dopłynąć, i póty przybierał nóżkami, dopóki palce, wciąż rozszerzane, nie porosły grubą skórą i nie zamieniły się w wiosła. Ptak wodny był gotowy. Inny ptak chodził na błota. Bezustannie w nich grzęznął, wyciągał nogi z wszystkich sił swoich, dopóki po wielu pokoleniach i niezliczonych ćwiczeniach akrobatycznych nie został nareszcie żurawiem lub bocianem. Gęś zbyt głęboko pod wodą szukając żeru i nad miarę wyciągając szyję, zamieniła się w łabędzia. Z tych próbek osądzi czytelnik z łatwością wartość Lamarcka i nie zadziwi się zapewne, że utonął w zapomnieniu.

Darwin dopiero pamięć jego wskrzesił na nowo. I cóż w tem dziwnego? Wszak swój swego chwali. Mając na zawołanie tylu znakomitych i wytrawnych botaników i zoologów, nie wspomina ich prawie nigdy, bo nie przypadają do jego systemu. Za to Lamarcka bardzo wynosi, nawet powiada, że systemem swoim dobrze nauce się przysłużył. Czytelnicy niebawem się przekonają, że nic innego Darwin nie zrobił, jeno podjął myśli Lamarcka, przerobił, zastósował zgrabnie do obecnego materyalizmu. Nawet o nowe dowody się postarał, którym doprawdy, warto przypatrzeć się z bliska.

Najważniejszym z nich jest sama teoria autora, wyłożona w księdze „o początku rodzajów”. Autor przypuszcza ją dzisiaj jako powszechnie znaną, a co dziwniejsza, jako ustalony już pewnik naukowy. Nie ulega wątpliwości, że ona jest niezbędną premisą naszego pokrewieństwa z małpami, bo żeby w to uwierzyć, trzeba oczywiście wprzód być przekonanym, że jedno zwierzę może się zamienić w drugie.

Mógłby tu ktoś zarzucić, że darwinizm prawdziwy w królestwie zwierząt, nie stosuje się do samego człowieka; że Stwórca na początku wszelakiego życia kilka tylko form zwierzęcych posadził na ziemi, które później drogą metamorfozy wydały następne kształty, a gdy ród zwierzęcy był ukończony i w komplecie, wtedy dopiero Najwyższy oddzielnie stworzył człowieka. Autor przewidziawszy ten zarzut, dołożył wszelkich sił w ostatnim dziele swoim, aby wykazać, iż człowiek zupełnem jest zwierzęciem. W takim razie i człowiek dumny pan stworzenia, poddać się musi nieubłagany prawom darwinizmu

W trzecim nareszcie miejscu za dowód położył autor rozmaite hipotezy, wśród nich, niezmierną starość ludzkiego rodzaju, „niezbędną podstawę, aby zrozumieć jego pochodzenie”. Oto argumenta, na jakie zdobył się pisarz uczony, podczas gdy resztę swej książki, mianowicie większą połowę drugiego tomu, wypełnił tysiącami ciekawych doświadczeń i obserwacji, nie mających jednak żadnego związku z głównym przedmiotem. Mogły śmiało stanowić książkę osobną, bo na początek człowieka wtedy jedynie rzucają pewne światło, jeżeli się przyjmuje samą teorię autora. Z nią tedy postaram się zapoznać czytelników w krótkich słowach.

Wiadomo, że rośliny i zwierzęta swojskie bezustannie się zmieniają; że co kilkanaście lat nowe zjawiają się rasy a stare ustępują, stosownie do potrzeb lub kaprysów ich właścicieli. Angielski farmer, ideał agronoma, doszedł do takiej wprawy w tworzeniu ras nowych, że z najzimniejszą flegmą, jak gdyby chodziło o ulepienie figurki z gliny, narysuje sobie zwierzę upragnione i mniej więcej obliczy, za ile lat się go doczeka.

Że to podobna, że to nie prześada żadna, pokazują liczne rasy angielskie, obrachowane zawsze na praktyczne cele. Świnia Leicester zamieniła się w słoninę, wół durhamski w mięso i tłuszcz, koń angielski w kości i mięśnie, a wszystkie inne części organiczne w tych rasach zeszły na minimum, niezbędne do fizycznego istnienia. Trudno nierolnikom wyobrazić sobie całe bogactwo form, otrzymanych sztucznym chowem w obu królestwach, zwierzęcem i roślinnym. Mianowicie w gołębiach, którymi w Anglii osobne zajmują się kluby, otrzymano nieprzejrzaną różnorodność w kilkuset gatunkach i odmianach, z których niektóre stoją tak dalece od siebie, jak gdyby należały do zupełnie odmiennych rodzajów. Zdarzają się nawet fantastyczne żądania, domagające się gołębi o dziwacznych dzióbach, nogach lub kolorach — a wprawny hodownik wygórowane nawet tego rodzaju żądania w dwóch lub trzech latach, a czasem i prędzej zaspokoić potrafi.

Nie jeden z czytelników zapyta, jak to być może. Odpowiadam: Nic łatwiejszego, jeżeli wprawne oko i wytrwała praca dopomagają naturze. Każdy bowiem organizm jest produktem dwóch przeciwnych sobie sił, jednej niejako dośrodkowej, która w nim na-

śladuje typ rodzicielski i nazywa się dziedzicznością — drugiej odśrodkowej, która go od pierwotnego typu oddala. A jak w mechanice ciało zostające pod wpływem dwóch sił, działających nań pod kątem, nie pójdzie wyłącznie ani za jedną ani za drugą, lecz w kierunku przekątnej równoległoboku sił składowych, tak i każdy organizm w czemś będzie podobnym do swoich rodziców a w czemś od nich różnym. Najczęściej są te różnice mało znaczące i giną razem z jednostką, gdy jednak są znaczniejsze (np. akacya bez kolców) nazywamy je odmianą, a gdy odmiana przechodzi spadkiem na potomstwo, powstaje rasa. Przykład rzecz całą wyjaśni.

W Stanach Zjednoczonych, w Massachutes w r. 1791, urodził się baran z krzywemi, krótkimi nogami. Właściciel jego nie mało się ucieszył. Dotychczas owce na pastwiskach przeskakiwały bardzo często przez płoty. Oczywiście podobne taksiki musiałyby zaniechać tych ćwiczeń gimnastycznych; nie dziw więc, że praktyczny Amerykanin na seryo pomyślał o stworzeniu takiej rasy. Chodziło przedewszystkiem o to, aby z barana - taksika otrzymać potomstwo podobne do niego, a gdy to się udało, wszystkie do niego podobne sztuki oddzielano od reszty trzody i między sobą krzyżowano. Tym sposobem powstała rasa nowa, bardzo mało podobna do zwyczajnych owiec, która się wkrótce rozpowszechniła po Stanach Zjednoczonych i dopiero w nowszych czasach ustąpiła przed merynosami. Tak rasy powstają i giną wedle życzeń człowieka.

Do ich powstania dwóch rzeczy potrzeba: nowej odmiany, choćby bardzo małej — a to jest dzieło natury; powtórne ustalenia odmiany w potomkach,

a to jest zadanie człowieka. Nie jest to praca mała, bo rasa zostawiona sama sobie, wraca powoli do pierwotnego typu, potrzeba zatem wydzielać bezustannie indywidua, nie mające w całej czystości rasowego charakteru.

Darwin od młodu wtajemniczony we wszystkie praktyki i sztuki łamane hodowników bydła, wróciwszy ze sławnej podróży na około świata, odprawionej w roku 1835—1847, osiadł na wsi w majątności swojej, gdzie dotąd czas swój dzieli między studia i hodowanie zwierząt. Poznawszy wszystkie sekreta trudnej a Anglikom tak sympatycznej sztuki, zadał sobie pytanie, czy natura potrafi *en grand* zrobić to samo, co każdy dzierzawca robi *en petit* na swej tenucie. Odpowiedział na to w dziele „o początku rodzajów.”

Że rośliny i zwierzęta, zostające w stanie dzikim mają tę samą, choć mniejszą dążność co swojskie, wyradzania się w nowe rasy, nie potrzeba na to dowodów. Chodzi więc o drugi wynik potrzebny do utworzenia rasy, o ustalenie jej sposobem dziedzicznym. Po tem, co wspomniałem o zabiegach około utrzymania czystości krwi w rasach swojskich, wydaje się niepodobnem, aby w stanie dzikim nowe rasy mogły powstawać, co więcej potrwąć czas dłuższy. Bo chociaż ciągle rodzić się będą indywidua z nieco odmiennym typem, nie potrafią go przekazać następnyim pokoleniom przynajmniej nie na długo, gdyż nic ich nie ustrzeże od mieszania się z resztą pobratymców. Jeżeli mimo to rasy dzikie trwają, to ktoś zastępuje przezorną rękę brakującego swe owce farmera? Bez niego wydaje się utrzymanie rasy absolutnem niepodobieństwem.

Kluczem do zrozumienia tej tajemnicy jest wedle

Darwina konkurencja w szukaniu pokarmu, czyli walka o życie. Walka ta, którą należy brać w najogólniejszem pojęciu, jest nieuniknioną dla wielkiej płodności prawie wszystkich roślin i zwierząt. Gdyby roślina jaka wydawała tylko dwa ziarna na rok, a jej potomstwo mnożyło się ciągle w tej samej niekorzystnej proporcji, mielibyśmy po dwudziestu latach milion roślin. Para słońów, których płodność zaczyna się dopiero w trzydziestym roku życia a kończy w dziewięćdziesiątym — jeżeli w ciągu tego długiego czasu zrodzi tylko trzy nowe pary, a te następnie rozmnożą się w tymże liczebnym stosunku, otrzymamy po 500 latach piętnaście milionów. A cóż powiemy o króliku, który w tymże czasie doczekać się może miliona najoddalszych potomków, w którym słoń zaledwie jednego się doczeka, lub o mszycy różanej (*aphis rosæ*), która w kilka tygodni cieszy się miliardami wnuków i prawnuków. Z pomiędzy najniższych zwierzątek, z pomiędzy wymoczków, jedna lanuszka (*vorticella*), mnożąca się pączkami, które odczepiwszy się od matki, zamieniają się w samodzielne żyjątka, wedle obliczeń Ehrenberga w cztery dni 140 bilionów potomstwa wydaje.

Jasna ztąd wypływa konkluzja, że gdyby które-mukolwiek rodzajowi istot żyjących, nawet najwolniej mnożącemu się, zostawiono bezwzględną wolność propagowania się, z czasem dla potomstwa jego zabrakłoby i ziemi i wody i powietrza, a zjadłszy wszystko, byłby na końcu zmuszony zjeść siebie samego. Zatem wszystkie rodzaje razem mogą tylko w ten sposób istnieć obok siebie, że w każdym z nich większa część jednostek ginie w wzajemnej nieubłaganej walce. *Bellum*

omnium contra omnes, oto normalny stan natury, że użyję słów Hobbbera.

Gdy w nocy letniej, przy pełni księżyca, wychodzimy do ogrodu, aby marzeniami wtorować śpiewaniu słowików; gdy prócz nas i prócz nich reszta natury zasnęła bezwiednym snem niewiniątek; gdy każdy krzaczek drzemie tajemniczo, oblany z góry srebrzącami się falami bladego światła, a nam tak dobrze, tak lekko, tak błogo, żeśmy choć na chwil kilka wyrwali się z wiru światowego, a każdy listek do koła nas dysze szczęściem i zgodą, wtedy, smutno to powiedzieć, obracamy się w grubej, choć miłej ułudzie, podobnej do tej, która nam ziemię ukazuje nieruchomą a słońce kołującą. Pokój i szczęście, które są w nas, wnosimy tam, gdzie ich niema; światłem własnego ducha rozpromieniamy ciemność zewnątrz nas i zdaje nam się, że i ona jest światłem

Przypatrzmy się bliżej tej na pozór tak uroczej, tak majestatycznie spokojnej przyrodzie, a wcale inny obraz odsłoni się zdumiałym oczom. Śpiewające słowiki są to szczupłe niedobitki z licznych zastępów, z których jedna połowa zginęła w jajku, a druga przez mróz i sotę, przez utrudzenie w dalekiej podróży lub w szponach drapieżnych jastrzębi, w pazurach nietościwych kotów. A na odwrót, ciż sami idealni śpiewcy, czarujący nas nocnymi koncertami, czyż nie zjadają rok rocznie milionów robaczek, muszek, gąsienic, motyli? A ileż miliardów tych samych robaczek ginie bezustannie, już to w zarodku, już to z najrozmaitszych przypadków?

I nawet nieruchome rośliny, ten sam, co zwierzęta, staczają bój zażarty, już to między sobą, już to

ze zwierzęcym rodem, tem okrutniejszy, ile że walczą bezwiednie i na oślep, bez litości i bez pardonu. W jednej stopie kwadratowej na murawie, po której stąpamy, ta sama, mimo drobnych swoich rozmiarów, wre walka, ta sama wojna, która napełnia całą powierzchnię ziemi. Tysiące małych istotek wydiera tam sobie na wzajem przestrzeń i powietrze, roś i światło: robaki podcinają trawki, a te rosnąc w wyż i w szerz, duszą bez litości swoje młodsze lub słabsze siostrzyczki.

Łatwo da się przewidzieć, że w tej straszliwej walce o życie zwycięstwo zostanie przy mocniejszym, czy go siła fizyczna takim uczyni, czy instynkt, czy duch myślący. Silniejszy rodzaj zapanuje nad słabszym, a w każdym rodzaju silniejsze jednostki szczęśliwszą konkurencją zabija słabsze. W tak nieustającym i wytężonem współubieganiu się nieraz mały przymiot właścicielowi nada wyższość, która mu z czasem zapewni zwycięstwo nad rywalami, nie mającymi tego przymiotu. Wtedy powstanie nowej rasy jest zabezpieczonem.

Wyobraźmy sobie, że wśród niezliczonych antylop, pasących się po równinach środkowej Afryki, znalazły się niektóre z nieco dłuższym karkiem. Przymiot brzydki, o którym trudno powiedzieć z góry, czy się na co przyda. Aż tu nastaje wielka i długa posucha, trawy i krzaki wędnieją, drzewa tylko ocaliły pełność swojej zieleni. Oczywiście zwyczajne antylopy wyginą z głodu albo do innych stron się wyniosą, gdy tymczasem długoszyjne mogą się jako tako wyżywić, obgryzając dolne gałęzie drzew. Pozostawszy jedynemi paniami bojowiska, z konieczności między sobą się kojarzą w stadła i przekażą długie swoje szyje dzieciom swoim. Gdy te same warunki potrwać lat kilkanaście, przy-

miot ów, zrazu maleńki, będzie się wznagał w każdym następem pokoleniu, gdyż natura sama ubezpieczy czystość krwi, na kształt rządneho farmera, z tą tylko różnicą, że rugowanie indywiduów nie mających rasowej cechy, tam się odbywa podług naprzód ułożonego planu a tutaj mechanicznie, pod wpływem zewnętrznych warunków życia: wszystkie bowiem jednostki, nie mające długiej szyi, giną dla braku pokarmu. I oto powstaje wspaniała żyrafa.

Taki jest główny zarys teorii Darwina. Elekcya sztuczna w stanie swojskim, elekcya naturalna w stanie dzikim, używająca za narzędzie okropnej walki o życie — te są czynniki, które działając na małe zrazu przymioty, ustalają je coraz bardziej prawem dziedziczności, a z drugiej strony przez rugowanie nieodpowiednich jednostek, utrzymując czystość rasowego charakteru, dają początek nowym rasom, które w ciągu wieków tak się od siebie oddalić mogą, że w zupełnie odrębne, nie łączące się między sobą rodzaje przechodzą.

W książkach Darwina spotykamy się ze zjawiskiem, coraz częściej niestety powtarzającym się w ludziach uczonych: z niesłychaną erudycją obok zupełnego niedołęztwa w myśleniu. Pochodzi to mojem zdaniem ztąd, że w krajach północnych studyum filozofii, a przedewszystkiem dyalektyczne ćwiczenia coraz więcej ustępują przed bezmyślnemi faktami. Szczególnie w naukach ścisłych i medycynie coraz mnożą się ludzie, którzy podobnie jak dzieci dnie i noce trawią na obserwacyach, aby potem naj-

błędniejsze z nich wyprowadzać konkluzye. Wszak i dzieci nic innego nie robią: od rana do wieczora ciekawie przypatrują się każdej rzeczy, i daleko więcej od nas starych spostrzegają w niej stron nowych, niezwykłych — mimo to ich syllogizmy nie przestają być dziecinne.

Taką niewprawność w myśleniu wraz z erudycją starca jednoczy i Darwin w swój osobie. Zrazu uderza czytelnika niezliczonymi faktami, nawet zarzuca go tak, iż ten ma go za niesłuchanie uczonego człowieka. Dopiero po jakimś czasie spostrzega, że wielki ten uczony i badacz i przyrodnik rozumuje jak dziecko, nie według prawideł logiki, lecz wedle skoków niespokojnej wyobraźni.

Cała jego teoria jest takim skokiem fantazyi i to tak gwałtownym, że dziwić się trzeba wielkiej sławie jego. Pochodzi ona ztąd zapewne, że większość czytających ma coraz skromniejsze pretensye do logiki. I w istocie wielkie odkrycie, dla którego Darwina nazywają drugim Kopernikiem, jest w tém, że od lat wielu oddany życiu wiejskiemu i wtajemniczony we wszystkie sekreta gospodarskie, rozszerzył swoje obserwacye, które tyczyły się ras domowych, najniesłuszniej do całego zwierząt królestwa. Rozumuje w ten sposób: skoro człowiek tak wielkie sprowadza zmiany w typach zwierzęcych za pomocą sztucznej elekcyi, czegoż nie potrafi w naturze elekcyja przyrodzona? Ale któż nie widzi, że wyraz „elekcyja naturalna“ brany dosłownie jest nonsensem i sam autor to przyznaje (*L'origine des espèces* — Paris 1860 — str. 116.) Dla czego więc go używa? Czyż wolno badaczowi ścisłemu bawić się w przenośnie? w kwiaty? w allegorye? I odkądże

to w naukach ścisłych metafora i to jeszcze niewłaściwa, starczyć może za argument?

Nadałem nazwę „elekcyi naturalnej“ powiada Darwin, czynnikowi, który przecho-
wuje każdą odmianę (w organizmie), byle-
by była korzystną“ (*L'origine des espèces* — str.
92.) Ileż tu niejasności w tem krótkiem zdaniu? Ale
posłuchajmy dalej. Wypowiedziawszy główną myśl swoją
że natura za pomocą elekcyi przyrodzonej potrafi dale-
ko więcej, aniżeli człowiek za pomocą elekcyi sztucznej,
dowodzi tego w ten sposób: „człowiek może tylko wpły-
wać na cechy widzialne, zewnętrzne, podczas gdy na-
tura, jeżeli wolno nam pod tą nazwą uosobić prawo,
wedle którego zmienne jednostki doznawają opieki, na-
tura, powtarzam, działa na każdy organ wewnętrzny,
na najmniejszą różnicę organiczną. Człowiek wybiera,
jedynie mając wzgląd na własną korzyść, a natura w
wybieraniu ma jedynie wzgląd na jednostkę, którą się
opiekuje... Elekcyja naturalna co dzień i o każdej go-
dzinie po całym świecie, bada każdą odmianę, nawet
najniepokątniejszą, aby odrzucić ją, jeżeli jest złą, a
zachować, jeżeli jest dobrą. Tak ona nieznacznie, w mil-
czeniu, wszędzie i zawsze, skoro się nadarza szczęśli-
wa sposobność, pracuje nad udoskonaleniem każdej
istoty organicznej“. (*L'origine des espèces*, str. 119 i 120).

I to dzisiejsi materyaliści nazywają metodą induk-
cyjną, rozumowaniem ścisłym, argumentacją niezbitą?
Doprawdy, odkąd łacina przez protestantyzm została
wyrugowaną z literatury, wszystko dozwolonem jest w
krainie myśli. Odkąd surowa pani myślenia i dobrego
gustu zamilkła, zaczęły się bachanalia dla piszących i
mówiących. Niepojęty szal ogarnął wszystkich i pomię-

szał im języki, a im głośniej krzyczą, tem mniej rozumieją siebie samych. Gdyby łaskawy czytelnik zechciał przytoczony ustęp sławnego Darwina, a podobnych znajdzie się w nim bez liku, przełożyć na zwyczajną łacinę, przekonałby się z niemałym zdziwieniem, że to mowa brzmiąca, ale bez treści.

Któż jest ta natura, pamiętająca o wszystkim opiekująca się wszystkimi? Darwin odpowiada: jest to prawo, wedle którego zmienne jednostki doznawają opieki! Czyż kto słyszał kiedy o podobnej definicyi? Doznawają opieki! Od kogo? Czyż od Boga? To Darwin przypuszczał w r. 1859 ale dzisiaj już nie uznaje. Czy może od natury? Jakim sposobem to być może, skoro ona jest tylko prawem, wedle którego jednostkom dostaje się opieka. A jeżeli natura jest prawem, to gdzież przebywa to prawo? kto je nadał? kto je wykonywa? Prawo jest pojęciem względnem i tylko tam istnieje, gdzie żyje prawodawca. Czemże wreszcie ten wszechświat? ten ocean życia? Jeżeli natura jest prawem, nie może być światem. Któż wreszcie wykonywa to prawo? Potrzeba na to rozumnej istoty, a to nie jest natura będąca tylko prawem! Od kogo więc jednostki doznawają opieki? Powiedział nam Darwin prawo, wedle którego opieka udziela się, ale nie powiedział, kto jej udziela. Natura jej nie udziela, bo jest prawem. Któż więc, na Boga! Może świat? Ale czemże świat? Nie jest naturą, bo wtedy byłby prawem? Czemże zatem? Chyba ową nieskończoną ilością stworzeń, które do koła siebie widzimy. Ale wtedy mówić, że według pewnego prawa świat daje opiekę jednostkom, wychodzi na to, że jednostki sobie same są opieką i to według danego prawa! Wąt-

pię, aby czytelnicy zgoda coś zrozumieli z tej próbki darwinowskiej logiki! Ale idźmy dalej.

Widzieliśmy, jak niejasne pojęcie ma autor. Jedno takie pojęcie potrafi całą książkę zamącić. I w istocie trudno zrozumieć zdanie, którego podmiot jest niezrozumiały. Ale tu bezustannie słyszymy autora mówiącego o naturze, jako o myślącej i czującej istocie. „Natura wybiera, bada, pracuje; natura dba o korzyść jednostek i natura doskonali je bezustannie.“ Na jednym nawet miejscu nazywa się elekcyą naturalną „władzą rozumną.“ Pytam, jaki sens zawiera się w tych przenośniach? i czy nie do nich stosują się słowa wielkiego Cuviera, że fizyologowie rozprawiający o naturze, jak się rozprawia o żywej i myślącej istocie, nic nie tłumaczą i tylko siebie i innych trzymają w grubej ułudzie?

Zdaje mi się, że w podobnej ułudzie obracają się wszyscy Darwińści. Czczą przenośnią, widmo wyobraźni wzięli za rzeczywistość i w miejsce Boga żywego postawili abstrakcyą swego własnego rozumu. Odtąd zdaje im się, że wszystko wyjaśnili, biorąc ciemność, która ich otacza za światło. Wolno nam chrześcianom w przenośnem znaczeniu mówić o naturze, jako o żywej istocie, że czuwa, że oddycha, że śpi, że karmi wszystkich, że chwali swego Stwórcę. Wszak i o zegarku mówimy, że chodzi, że stanął, że się spieszy, że się myli. Niewinne te przenośnie mają znaczenie zupełnie jasne i określone. Ale gdy Boga usuwamy na chwilę z myśli naszej, wszystkie te abstrakcyje stają się niezrozumiałemi. Jak nikt nie mówi, że zegarek sam się nakręcił lub sam nastawił, tak również o naturze bez Boga nikt nie powie, że stara się każdą istotę zachować lub do-

skonalić. Bo natura pod okiem Boga jest regularnie chodzącym zegarem, bez Boga jest niezrozumiałym chaosem. Są to miliony zwierząt, roślin, kryształów, gazów, kamieni, o których nikt nie powie, że kogoś doskonala lub karmi.

A wreszcie przenośnie te nawet nie przypadają do natury, rządzonej ręką Opatrzności. Nie wiemy, jaką była dawniej, ale to pewna, że odkąd na świat grzech przyszedł a z grzechem śmierć, nie widać w naturze żadnej dążności do zachowania lub doskonalenia jednostek. Tam przeciwnie wre wojna wszystkich przeciw wszystkim, jak sam Darwin trafnie zauważył, ale celem tej walki nie jest zachowanie, lecz tępienie; nie jest doskonalenie, lecz niszczenie. Tam przeważnie giną nawet doskonalsze stworzenia, dobór jednostek, bo jak człowiek tak i zwierzęta wolą tłustą zwierzynę od chudej. Najczęściej jednak w naturze panuje głód taki, że bez wyboru jedno stworzenia pożerają drugie, doskonałe i ułomne.

Nie zapominajmy, że wyraz doskonalić, jest pożyczony tylko. Mówią, że rolnik doskonali zwierzęta domowe. Darwin ten sam zamiar przypisał przyrodzie. Jednakże doskonalenie płodów swojskich jest bardzo względnem pojęciem, którego nie wolno używać bez należytej oględności. Prawda, że rolnik doskonali rozmaite zwierzęta i rośliny, ale je doskonali dla siebie, podczas gdy natura, jak Darwin sądzi, jedynie korzyść stworzeń ma na względzie. Nie zachodzi więc najmniejsze podobieństwo między jedną funkcją a drugą. Co więcej, rolnik tylko pod pewnym względem doskonali a pod drugim psuje. Produkta swojskie są doskonalsze pod względem korzyści naszej, ale w sobie są

mniej doskonałe od dzikich. Nikt nie powie, że świnia Leicester, podobna do wypchanej kiełbasy, jest w sobie doskonalszą od odyńca lasów, a wojna krymska pokazała, że foliobluty angielskie doskonałe są w stajni i na wyścigach, ale bardzo liche w znoszeniu niewygód wojennych. Pod tym względem zwykłe konie kozackie okazały się nieskończenie wyższymi.

To samo powiedzieć można o wszystkich prawie zwierzętach domowych. Nasze kaczki, gęsi, kury, są bardzo smaczne, są tłuste, mają delikatne pierze, mają niezliczone zalety, ale porównane z pokrewnymi im ptakami, żyjącymi w stanie dzikim, są to zupełnie niedołążne istoty. Dla tego inni naturaliści bynajmniej tworzenia się ras nie uważają za doskonalenie pierwszego typu, jak Darwin, lecz za wyrodzenie się. Niezrównany Buffon przechodzi z kolei nasze zwierzęta domowe a porównywając każde z nich z pokrewnym typem dzikim, uważa je wszystkie za deprawacye pierwotnej formy. Nie możemy się dłużej zatrzymać nad tym przedmiotem, ale dobrze jest sobie przypomnieć, że Buffon, którego sława więcej ustalona i lepiej wypróbowana od sławy Darwina, o jednym z głównych punktów zoologii miał wręcz przeciwne wyobrażenie.

Cóż więc powiemy o Darwinie? Oto, że uwiedziony błędną analogią i nic nie znaczącymi przenośniami przypisał bezrozumnej naturze rozumne funkcye człowieka. Oczywiście system, oparty na takiej argumentacji, rozpada się w sobie, jak domek z kart, stawiany ręką dziecka. Zapomniał snąć autor, że w dziele „o początku rodzajów“ sam ostrzega, iż nie można polegać na analogii, gdyż niekiedy

(powiem: bardzo często) prowadzi na bezdroże (*L'origine des espèces* str. 669). Mimo to na niej budował cały gmach myśli swojej. A jeżeli nawet analogia prawdziwa z natury swojej bardzo słabym jest dowodem, analogia fałszywa doprawdy niczego nie dowodzi. Żadnej zaś nie ma wątpliwości, że Darwin pomylił się w analogii. Boć nikt nie powie, że między ziemią odłączoną od Boga, martwą i bezmyślną, a rozumnym człowiekiem, pracującym według planu naprzód ułożonego, zachodzi jakiekolwiek, nawet dalekie podobieństwo.

Pojęcie natury, mimo definicji Darwina, pozostało dla nas niezrozumiałem. Tem mniej rozumiemy, w jaki sposób natura utworzyła rodzaje. Albowiem żeby to zrozumieć, trzeba koniecznie wiedzieć, co to natura i rodzaj. Naturę zdefiniował autor w sposób niezrozumiały, a o definicji rodzaju nawet nie pomyślał, twierdząc, że to pojęcie bez wszelkiej obiektywnej rzeczywistości, tak iż sam tytuł książki „o początku rodzajów“ wielkiem jest paradoksem. Był powinien raczej taki napis położyć: „o początku tego, co nie jest“ bo dla niego rodzaj nie istnieje. Zastania się uczony autor twierdzeniem, że sami zoologowie nie mają dokładnego pojęcia o rodzaju i że na jedną wspólną definicję dotąd zgodzić się nie mogli. (*Origine des espèces* str. 69.)

Jednakże w tej mierze Darwin bardzo przesadza, bo odkąd ludzie na świecie i odkąd myślą, dzielili zawsze stworzenia na większe i mniejsze grupy, według ich większego lub mniejszego podobieństwa. Ludzie stanowią rodzaj osobny, odrębny stanowią psy a koty także odrębny. Psy dzielą się znowu na rozmaite

rasy, a chociaż te często są bardzo mało do siebie podobne, jednak najbardziej nawet ograniczony człowiek wie, że chart w bliższym zostaje pokrewieństwie do brysia aniżeli do kota. Zawsze to wiedziano i zawsze tak sądzono, bo całe myślenie nasze o tyle jest prawdziwem, o ile ogólnym pojęciom naszym odpowiadają rzeczywiste grupy stworzeń. Gdybyśmy nie byli przekonani, że n. p. dwa psy należą do jednej, ściśle od innych wyróżnionej grupy, nie moglibyśmy żadnego z nich psem nazwać, bo wyraz ten oznacza całą grupę zwierząt.

Gdyby dowiedziano, że tej grupy nie ma, że jednostki do niej wchodzące nic zgoła ze sobą nie mają wspólnego, natychmiast każda z nich przestałaby być psem, nazwa by jej znikła, a pojęcie rozwiąłoby się w nic. Darwin dołożył wszelkich starań, aby wszystkie znieść grupy, wszystkie rodzaje, gatunki, familie i rasy, a zostawić same jednostki. Sądził, że sztuczne jego metamorfozy łatwiej się odbędą od jednostki do jednostki, aniżeli od rodzaju do rodzaju. Nie dziwię się temu wcale. Interes szkoły w istocie tego wymaga.

Nie zapominajmy, że nowożytny materyalizm jest niedonoszonym płodem niemieckiego panteizmu i że ma razem z nim wspólny interes. Otóż tętnicą panteizmu, ciepłem i życiem jest zniesienie kardynalnego prawa myślenia, że ta sama rzecz nie może równocześnie być i nie być. Bez tego prawa wszelkie myślenie zatrzymuje się, ustaje, przechodzi w niemyślenie. Tego właśnie żądają, tego pragną panteiści. Znieśli różnicę między Bogiem a światem, między bytem a nicością, między światłem a cieniem, między dobrem a złem, ale tego im nie dosyć, dopóki myślenie zachowuje swoje

udzielne i rzeczywiste istnienie. Dla tego zbuntowali się przeciw logice i obalili słupy graniczne, dzielące myślenie od tego, co nie jest myśleniem. U nich panuje wolność paradoksów i tożsamość przeciwieństw.

W chwilach szczerości czy rozkołysanej fantazy mawiał Hegel, że jedno są skończoność i nieskończoność, Bóg i człowiek, wolność i konieczność, dobre a złe, plus i minus, majątek i długi, nareszcie słońce i księżyc, a co dziwniejsze, że fałsz i prawda to jedno! Kto tego nie czytał na własne oczy, nie uwierzy, że myśl ludzka mogła do tego stopnia oszaleć. Szał ten materyalistom dostał się w spadku, tytułem pokrewieństwa, łączącego ich naukę z Hegelianizmem. Nie widzą różnicy żadnej między rośliną a zwierzęciem, koniem a osłem, kozą a baranem; nie mają ani rodzajów ani gatunków, ani ras nawet, znają tylko same jednostki.

Dr. Bücher i Prof. Haeckel z Jeny, który darwinizm wyniósł do godności religii, uważają za największy tryumf nauki ostateczne zrównanie zwierzęcia i rośliny, zwierzęcia i człowieka. Jest to przeniesiony do głów niemieckich francuzki radykalizm, zastosowanie zasad roku 1789 do zwierzęcego królestwa. Mojem zdaniem jednego tylko ono dowodzi, upadku myślenia w twórcach owych hipotez. Opatrzność zsyła nieraz podobne upadki, karząc umysłową rozpustę. I jakże inaczej być może. Czyż nie jest to straszna a zarazem sprawiedliwa logika, że materyalista, znoszący różnicę pomiędzy sobą a zwierzęciem, karany bywa właśnie w tem, co najwięcej go wyróżniało od zwierząt, w darze myślenia? Wtedy jak zwierzę obraca się wśród samych

faktów i zjawisk, nie mogąc przez nie przedostać się do krainy prawd ogólnych, bo wypuścił z ręki tajemniczą nić przewodnią, proste i niezgłębione prawo kontradykcji, że ta sama rzecz nie może razem być i niebyć.

Naprzeciw tym usiłowaniom należy tem mocniej affirmować przyrodzone prawa myślenia, bo tylko one ocalić nas mogą przed potopem kłamstw i błędów, zalających wszystkie dziedziny umysłowego i społecznego życia. Potop ten niewątpliwie przybierze przez zniesienie rodzajów w szkole Darwina. Tem silniej obstawać trzeba przy zupełnem ich rozgraniczeniu. A przychodzi to tem łatwiej, że mamy znakomitych zoologów po naszej stronie.

Prawda, że nieraz po książkach zjawiają się niedokładne definicje, ale to już nie przyrody, lecz przyrodników jest wina. Ona pod tchnieniem Najwyższego stworzyła udzielne gromady jestestw; że ludzie tych gromad czasem rozpoznać nie umieją, czyjaż w tem wina? A zresztą nie prawda, co mówi Darwin, że nie masz dobrej definicji rodzaju i że co do tego pojęcia zoologowie są w zupełnej niezgodzie. Zezwalam chętnie, że niektórzy, wśród nich p. Darwin, p. Vogt, p. Büchner, ale to nie wiele znaczy. Za to większość poważnych naturalistów przyjęła jasną definicję wielkiego Buffona, według której rodzaj jest to nieprzerwane następstwo indywiduów do siebie podobnych i reprodukujących się z kolei.

Podobieństwo i reprodukcyja, oto dwie główne cechy rodzaju: pierwsza jest dodatkowa, druga jest nie-

zbędna. „Podobieństwo indywiduuów, powiada trafnie Buffon, jest tylko ideą dodatkową a często niekoniecznie złączoną z nieprzerwanem następstwem indywiduuów drogą reprodukcji, bo osieł więcej jest podobny do konia, aniżeli pudel do charta, a jednak pudel i chart należą do jednego rodzaju, ponieważ mieć mogą wspólne potomstwo, mnożące się dalej; tymczasem koń i osieł należą niewątpliwie do różnych rodzajów, ponieważ wspólne ich potomstwo jest nadwergężone i niepłodne.“

W granicach każdego rodzaju powstają indywidua z licznymi odmianami, n. p. akacya bez kolców; które to odmiany, jeżeli ustalają się i przechodzą drogą dziedzictwa na potomki, co jednak nie często się zdarza w stanie dzikim, zamieniają się w rasy. Ale wszystkie rasy i odmiany, nawet najmniej podobne do pierwotnego typu, należą do jednego, wspólnego pokolenia, które prawdopodobnie z jednej pierwszej pary się rodzi. Familijne to pokrewieństwo, w nowych czasach wprowadzone do zoologii przez pp. Izydora Geoffroy, Saint Hilaire i Quatrefages, wytyka jasno granice każdego rodzaju. Każde indywiduum, nie dające się w żaden sposób podciągnąć pod genealogią rodzaju, do niego z pewnością nie należy. Powiemy zatem, że rodzaj jest to potomstwo jednej pary, najczęściej do siebie podobne a zawsze reprodukujące się bez przerwy.

Definicja każda powinna nie tylko być wolną od wewnętrznych logicznych sprzeczności, lecz nadto postarać się o sankcyą świata realnego. Tam powinna dowieść swojej prawdziwości, obejmując wszystko to, co objąć miała, tłumacząc wszystko to, co tłumaczyć przy-

rzekła. W obecnym razie definicya przez nas podana, została świetnie potwierdzoną przez najwyższą mistrzynią w tych sprawach, przez samą przyrodę.

Natura bowiem pociągnęła wyraźną granicę między jednym rodzajem a drugim. Potomkowie różnych ras, byleby jednego rodzaju, krzyżują się z wielką łatwością i wydają potomstwo, reprodukujące się dalej. Są to metysy czyli mieszańce. Przeciwnie potomkowie dwóch różnych rodzajów, tak zwane hybrydy, trudno między sobą się krzyżują, a jeżeli przypadek je obdarzy potomstwem, to zawsze jedno z dwojga: albo umiera ono bezdzietnie, albo w potomkach swoich wraca niechybnie do jednego z dwóch typów rodzicielskich, od których pochodzi¹⁾.

O nic łatwiej w przyrodzie, jak o metysy (mieszańce), czy to wśród roślin czy zwierząt; najczęściej nawet odznaczają się większą płodnością, aniżeli indywidua czystej krwi. Wiedzą gospodarze, jak trudno im przychodzi uchować rasę od zmieszania się z innemi. Nic podobnego nigdy nie zdarza się między różnemi rodzajami, one dobrowolnie nigdy prawie się nie łączą

¹⁾ Zatrzymywanie się nad szczegółami odprowadziłoby mnie za daleko od celu mojej rozprawy. Dla tego mogę tylko odwołać się do powagi wielkich naturalistów, którzy tę kwestyą w najdrobniejszych szczegółach zbadali. Pomijając dawniejsze prace Buffona i Cuviera na tem polu, przypominam wytrwałe doświadczenia pp. Decaisne, Flourens i Naudin, z których mianowicie drugi w menażeryi *Jardin des plantes* studyował mieszańce zwierzęce, a trzeci przez ośm lat wyłącznie obserwował hybrydy roślinne. Prace te, dawno już podane do wiadomości publicznej, cały stan kwestyi wybornie rozjaśniły. Żałuję, że w tej materii muszę poprzestać na kilku ogólnych uwagach.

i ztąd pochodzi owa uderzająca dysproporcja między liczbą metysów a liczbą hybrydów. Metysy roślinne liczą się na tysiące, gdy tymczasem na 150.000 rodzajów, zaludniających królestwo roślin, liczba hybrydów nie dochodzi czterdziestu. Takie liczby nie tylko wymownie, lecz do prawdy krzycząco protestują przeciw zniesieniu rodzajów i następnym dedukcyom darwinistów. W państwie zwierzęcem dysproporcja jeszcze większa. W stanie dzikim, tylko w gromadzie ptaków znane są nieliczne wypadki, gdzie małżeństwa z różnych rodzajów okazały się płodnymi; o zwierzętach ssących i rybach nic takiego nie wiadomo.

Prawda, że ze zwierzętami oswojonymi ma się rzecz odmiennie, ale jeżeli gdzie, to na nich właśnie darwinizm się nie sprawdził. Mimo wszelkich usiłowań człowieka, powtarzanych od kilku tysięcy lat, mimo licznych szczęśliwie otrzymanych hybrydów, nie udało się nigdy przekroczyć granicy, dzielącej jeden rodzaj od drugiego. Z wszystkich hybrydów, znanych w domestykacyi, dwa tylko wypadki krzyżowania zawsze są pewne, konia z osłem i kozła z owcą, ale wymownie przeciw Darwinowi świadczą. Muł stale jest niepłodnym a tak zwane szabiny (które zresztą tylko w Chili i Peru prosperują) reprodukuja się, to prawda, ale po kilkunastu pokoleniach wracają niechybnie do jednego z dwóch typów pierwotnych, kozła lub owcy, a wtedy krzyżowanie trzeba rozpocząć na nowo. Sprawdza się zatem w zupełności ogólne prawo, że hybrydy, dzieci dwóch odmiennych rodzajów, nie zdolne są utworzyć nowej rasy, tem mniej zaś nowego rodzaju.

Darwiniści, wiem o tem, mają rozmaite wybiegi

za pasem: powiadają, że dawniej było inaczej, że strome rozgraniczenie dzisiejszych rodzajów jest dziełem niezmiernie długich czasów i t. d. Tych przypuszczeń jednak dowieść nie potrafili. Przywodzą także świeżo stworzone leporyny we Francyi, hybrydy z królika i zająca lub też psy pochodzące od wilków. Ale przykłady te, z których pierwszy przyjmować należy z pewnem zastrzeżeniem, dowodziłyby tylko jednego, że niesłusznie z owych zwierząt utworzone osobne rodzaje, że to są rasy tylko jednego rodzaju, z których jedna żyje w stanie dzikim, druga w stanie swojskim. Nie ulega wątpliwości, że z dalszym rozwojem zoologii liczba rodzajów zmniejszoną zostanie, ale nie naruszy to w niczem samej istoty rodzaju. Płodność albo niepłodność, oto cecha nieomylna, po której dwa indywidua albo do jednego albo do dwóch różnych odnosimy rodzajów.

Najwięcej w tym sporze zadziwia, że nawet Darwin tę samą, co przeciwnicy jego, charakterystykę rodzaju podaje. W najnowszem dziele swoim poświęcił rozdział siódmy ważnej kwestyi: czy plemię ludzkie na odrębne rodzaje się rozpada, żadnym między sobą nie powiązane węzłem pokrewieństwa, czy też na rasy, należące do jednego rodzaju. Oświadczywszy się za drugą opinią, przytacza, jako argument za jednością rodzaju ludzkiego, że rasy ludzkie bez najmniejszej trudności zlewają się i krzyżują, a w tem upatruje „tradycyjną próbę” pochodzenia lub niepochodzenia z jednego rodzaju (Przekład Carusa tom I. str. 198). A dawniej już, mówiąc o wspólnem pochodzeniu gołębi z jednego rodzaju, opiera je głównie na łatwości krzyżowania i reprodukcji, zauważanej we wszystkich bez wyjątku rasach. Przeciwnie zaś,

dodaje, nie można znaleźć przykładu hybrydów, któreby pochodziły z dwóch widocznie różnych rodzajów, a mimo to były płodne. (*Origine des espèces* str. 48.) Słowa te rozstrzygają kwestyą stanowczo. Bo jeżeli oznaką wspólnego z tegoż rodzaju pochodzenia jest łatwość krzyżowania i reprodukcji, to brak tej oznaki dowodzi nie pochodzenia, a wtedy przemiana jednego rodzaju w drugi jest fizycznym niepodobieństwem.

Powiadają darwiniści, że wzajemne przekształcenie się rodzajów odbyło się w niezmiernie długich czasach i w istocie potrzeba było milionów lat, aby zwolna i nieznacznie ryba przemieniła się w ptaka lub jaszczurka w zwierzę ssące. Wtedy jednak między jedną formą zwierzęcą a drugą musiałyby przejść niezliczone formy pośrednie, dwuznaczne. Ileż n. p. musiało być prób nieudanych, ileż kształtów wadliwych w organie widzenia, zanim oko złożone, cylindrowe większej części owadów zamieniło się w oko soczewkowane zwierząt kręgowych. A jednak żadnej nie napotykamy formy przejściowej i nawet zgoła wyobrazić sobie nie umiemy, jakim sposobem pierwsze przemieniło się w drugie. To samo da się powiedzieć o innych organach: między skrzydłem a płetwą, między płetwą a nogą nie widzimy żadnego przejścia, żadnego co do formy zbliżenia, a nawet wydaje się zupełnie niemożliwym, tak jak być ono nie może pomiędzy ziemią a powietrzem, pomiędzy powietrzem a wodą.

Co więcej! nawet blisko siebie stojące rodzaje pokazują przedział, niczem nie wypełniony, którego

przebyć nie można, chyba na skrzydłach wyobraźni. Jeżeli więc jeden rodzaj pochodzi od drugiego, koniecznie związane być muszą długim szeregiem form przejściowych, któreby nieznacznie od jednego przeprowadzały do drugiego. Sam Darwin powiada, że ich bardzo wiele być musiało. Gdzież więc są te formy przejściowe? W obecnym stanie nigdzie ich nie ma. A jednak powinno ich być tysiąc razy więcej od form skończonych, stałych. Gdzież więc są? gdzie się podziały? Nawet w najdawniejszych pokładach ziemi ich nie ma. Nigdzie tam spotkać się nie można z formami dwuznacznymi, bardzo różnymi od dzisiejszych. Przeciwnie są tam rodzaje ściśle od siebie odgradzone. —

Już Cuvier walczył z przypuszczeniem, że obecnie istniejące formy zwierzęce są metamorfozą zwierząt przedpotopowych. Ale, odpowiada stanowczo, jeżeliby ta metamorfoza miała miejsce, dla czegoby ziemia nie zachowała po niej żadnych śladów? dla czego między paleoteryum, megalonyxem, mastodontem a dzisiaj żyjącymi rodzajami nie znaleziono żadnych form pośrednich? To samo pytanie zadajemy Darwinowi i wątpię, czy zdobędzie się na lepszą odpowiedź od zwolenników metamorfozy za czasów Cuviera. Nie mogę bowiem na seryo brać tego, co on i przyjaciele jego powtarzają, że wszystkie formy przejściowe leżą pogrzebane w morzu lub w krajach, których dotąd geologia nie zbadała. Nad takimi argumentami doprawdy nie warto się zatrzymać.

Ażeby zamknąć darwinistom tę ucieczkę pod ziemię i ustrzedz czytelników przed bajkami geologicznymi, na których w wielkiej części darwinizm polega, przytoczę zdania dwóch ludzi fachowych, bo mniemam,

że sprawa każda wiele na tem zyska, gdy w miejsce kapryśnych zachcianek wyobraźni, odwołujemy się do wytrawnego sądu prawdziwych mężów nauki.

Jeżeli teorya Darwina nie jest czczym wymysłem, powinna zarówno sprawdzić się na zwierzętach, jak na roślinach. Jak pierwsze tak i drugie musiały pozostawić niezliczone formy przejściowe w łonie ziemi. Zapytajmy więc jakiego znanego paleontologa, czy to prawda? Darwin nim nie jest. Otóż prof. Göppert w Wrocławiu, który długie swe życie przeważnie poświęcił badaniu skamienia roślinnych i na tem polu za pierwszorzędną uchodzi powagę, streszcza sąd swój o teorii Darwina w tych słowach: teorya ta nie może się żadnego spodziewać poparcia od przedpotopowej flory.

Posłuchajmy teraz drugiego, który do podobnej konkluzji doszedł na polu przedpotopowej fauny. Jest nim paleontolog Reuss: wykazał on gruntośnie, że kości przedpotopowe w niczem nie popierają darwinizmu. (Zobacz: Nowy rocznik i t. d. Leonharda i Geinitza, 1865 str. 297). Łącząc zdanie dwóch tych uczonych w jeden wspólny rezultat, powiemy, że ani skamieniałe rośliny, ani zwierzęta przedpotopowe nie dowodzą zmienności rodzajów. A ponieważ w obecnie istniejących rodzajach sami darwiniści uznawają stałą niezmiennność typów, wypływa ztąd wniosek oczywisty, że pojedyncze rodzaje i roślin i zwierząt są stałe, w sobie zamknięte, udzielne; że zatem nie mogły powstać jedne z drugich.

Warto zapytać także, o ile darwinizm da się pogodzić z chrześcijańską wiarą? Pytanie to wyda się nie jednemu dziwnem, zacofanem, niepolitycznem; sądzą jednak, że większość czytelników i w tym punkcie pragnie jasnej i stanowczej odpowiedzi. Wydaje mi się ona tem potrzebniejszą, ile że dzisiaj coraz częściej napotkać można chrześcian, nieobeznanych nawet z elementarnym katechizmem, tem więcej skłonnych do przyjmowania wszelkich nauk nawet najniezgodniejszych z wiarą, gdy tej sprzeczności nie widzi.

Inni znowu z pełną świadomością wyznawają otwarcie na polu nauki niechrześcijańskie zasady, w przekonaniu, że wiara w sercu się mieści a rozum nic z nią wspólnego mieć nie potrzebuje. Ztąd pochodzą owe niezliczone połowiczne charaktery, z uczuciem niby to chrześcijańskiem a z logiką pogańską. Podobna połowiczność wydaje mi się niegodną ludzi myślących; lekkomyślną w ludziach nieszczęśliwych, potrzebujących wszystkich władz duszy swojej do walki z przeciwnym losem. Każde rozdwojenie własnej istoty jest dla nich niechybną zgubą. Nie uczmy się dla prostej ciekawości, ani wierzy dla zaspokojenia sentymentalnych uczuć naszych, lecz niech każda myśl nasza, nawet czysto naukowa, rozjaśni się przy pochodni wiary, aby nie omackiem, lecz z pełną wiadomością przelewały się w czyny. Bo o ile wstrętnym jest widok człowieka, idealnego w myślach a brudnego w czynach, o tyle smutną jest dola chrześcianina, sercem przywiązanego do tajemnic wiary a rozumem błędzącego po bezdrożach materjalizmu.

Pytam więc, czy chrześcianin może być darwini-

stą? — Niektórzy odpowiedzieli na to twierdząco a nawet biskup pewien anglikański oświadczył, że teoria Darwina daje się przewybornie pogodzić z pismem św., bo ogólne wyrażenie: „Pan Bóg stworzył“ nie wyklucza możebności, że stworzył tylko jedną komórkę, która w ciągu wieków rozrosła się w niezliczone zwierzęta i rośliny. Ale mniejsza o Anglikanów, których chrześcijaństwo dzisiaj bardzo jest podejrzanem.

Nawet niektórzy postępowi katolicy sympatyzują z powyższą opinią. Uczony prof. Reusch z uniwersytetu Bonońskiego (Bonn), opierając się na nieokreślonym znaczeniu hebrajskiego *min* (rodzaj), które wulgata czasem tłumaczy przez *species* a czasem przez *genus*, mniema, iż słowa Genezy: „uczynił Bóg bestye ziemne według rodzajów ich“ *juxta species suas*, znaczyłyby tylko, że Bóg uczynił „rozmaite bestye“ (Zob. *Bibel und Natur* 3. wyd. 339), że zatem pismo św. wcale nie wypowiada, ile pierwotnych typów zostało stworzonych a ile później przybyło w ciągu wieków, drogą ciągłych metamorfoz. Czytając podobne rozumowanie, zdawałoby się, że umiarkowany darwinizm, jaki wyznawał autor jeszcze w r. 1859, w najlepsze idzie w parze z pismem św., tą podstawą chrześcijańskiej nauki.

Jednakże tak nie jest; rzecz się ma przeciwnie, a p. Reusch oraz przyjaciele jego, z których wielu niestety, nie wyłączając jego samego, poszło teraz zwiększyć szyki tak zwanych „starych katolików“ w grubym obracają się błędzie, zapewne dla tego, że nie dosyć się nauczyli dogmatyki, co w Niemczech obok nadzwyczajnej erudycji zbyt często się przytrafia.

Ile razy tekst pisma św. jest jasnym i zrozumiałym, nie mamy powodu odstępować od dosłownego tłumaczenia wyrazów. Powiada Geneza, że każda roślina miała nasienie „według rodzaju swego;“ tak samo o zwierzętach, że zostały stworzone „według rodzaju swego.“ Jedne i drugie się mnożą nie według zmiennych wpływów zewnętrznego przypadku, lecz według rodzaju swego, to znaczy, iż każda istota wydaje potomstwo do niej podobne i stanowiące z nią jeden rodzaj odrębny. Nic więcej się nie sprzeciwia teorii Darwina, jak podobne reprodukowania się tego samego pokolenia o nieziennej formie. Co więcej! gdy niepojęty akt stworzenia ostatecznie był dokonany i człowiek w raju wyrokiem Najwyższego ustanowiony panem ziemi i wszystkiego, co na niej jest, opowiada dalej Geneza, że Bóg przywiódł wszystkie zwierzęta do Adama a jak Adam każde z nich nazwał, tak „jest imię jego.“ Słowa te, brane w znaczeniu prostem, dosłownem, a nie według z góry przyjętego systemu, mieszczą w sobie dwie ważne skazówki co do powstania rodzajów; a obie są przeciw Darwinowi:

1. że rodzaje zwierzęce, od chwili stworzenia swego aż do dnia, w którym człowiek je przezwał, nie zmieniły się, bo wyraźnie powiedziano jest, że Bóg te rodzaje, które stworzył, a nie żadne inne, przywiódł do Adama;

2. że ani następnie się nie zmieniły, bo w takim razie nie byłby natchniony autor Genezy napisał tych słów: wszystko co nazwał Adam duszę żywiącą, to jest imię jego. Nazwa pozostać nie mogła, gdyby rzecz się była zmieniała. A jak słońce, gwiazdy i ziemia nazywają się w języku hebrajskim tak,

jak Adam je nazwał, bo pozostały takimi w istocie, jacymi były za jego czasów, tak i zwierząt i roślin rodzaje pozostały niezienne. Oczywiście mówimy o niezmienności rodzaju, bo że indywidua a z nich pochodzące rasy zmieniają się, nie przekraczając jednak nigdy granic rodzaju, przyznaliśmy i wyłożyliśmy powyżej.

Stoimy u końca naszej rozprawy. Podjęliśmy kwestyą zmienności rodzajów w sposób czysto naukowy: naprzeciw powadze Darwina stawiając inne, większe jeszcze powagi zoologiczne, a fakta, popierające niby jego hipotezę, rozbierając, bez najmniejszej predelekcyi do jakiegokolwiek filozoficznego systemu. Wykazaliśmy, że jedne z nich nic nie dowodzą na jego korzyść a drugie świadczą przeciw niemu. Nareszcie obok wyroku nauki, niezależnie od niej, postawiliśmy wyrok teologiczny, bo dobrze jest doczesną wiedzę rozświecać połykami odwiecznej mądrości. Pragnę teraz przebieg dyskusyi i główny, ostateczny jej rezultat, w krótkim streszczeniu uprzytomnić czytelnikowi, a ponieważ dotąd wiele zaczępiałem i odpierałem, polemizowałem, postaram się o spokojną syntezę dodatnią, o ile dzisiejsza nauka dać ją jest w stanie.

Stan sprawy jest następujący: Darwiniści przytaczają tysiące spostrzeżeń, dowodzące, że jednostki w obrębie rodzaju zmieniają się, że nawet nowe powstają rasy. Wiadomo to powszechnie i na to zupełna panuje zgoda. Z tych faktów, w sobie prawdziwych, wyprowadzają fałszywy wniosek, że jeden rodzaj przechodzi w drugi. Temu przeczymy i tego nigdy nie

widziano. Ani jednego faktu na poparcie tego twierdzenia darwiniści nie mają. Jest to twierdzenie bez podstawy.

Nauka twierdzi przeciwnie, że jednostki ciągle się zmieniają, lecz że rodzaj pozostaje niezmiennym. Pierwsze tłumaczy, dla czego żadna jednostka nie jest zupełnie podobną do drugiej, a drugie, dla czego jest podobną. Jak daleko pamięć ludzka sięga, widzimy wszędzie różnorodność jednostek a niezmienną rodzajów. Jeżeli gdzie, to tutaj, fakta świadczą wymownie

Przeszło dwa tysiące lat temu opisał Arystoteles królestwo zwierząt. Podzielił je na klasy, które się w niczem nie różnią od klas Cuviera. Opisał wiele drobnych szczegółów, które do dnia dzisiejszego zachowały się w zupełności w tych samych zwierzętach

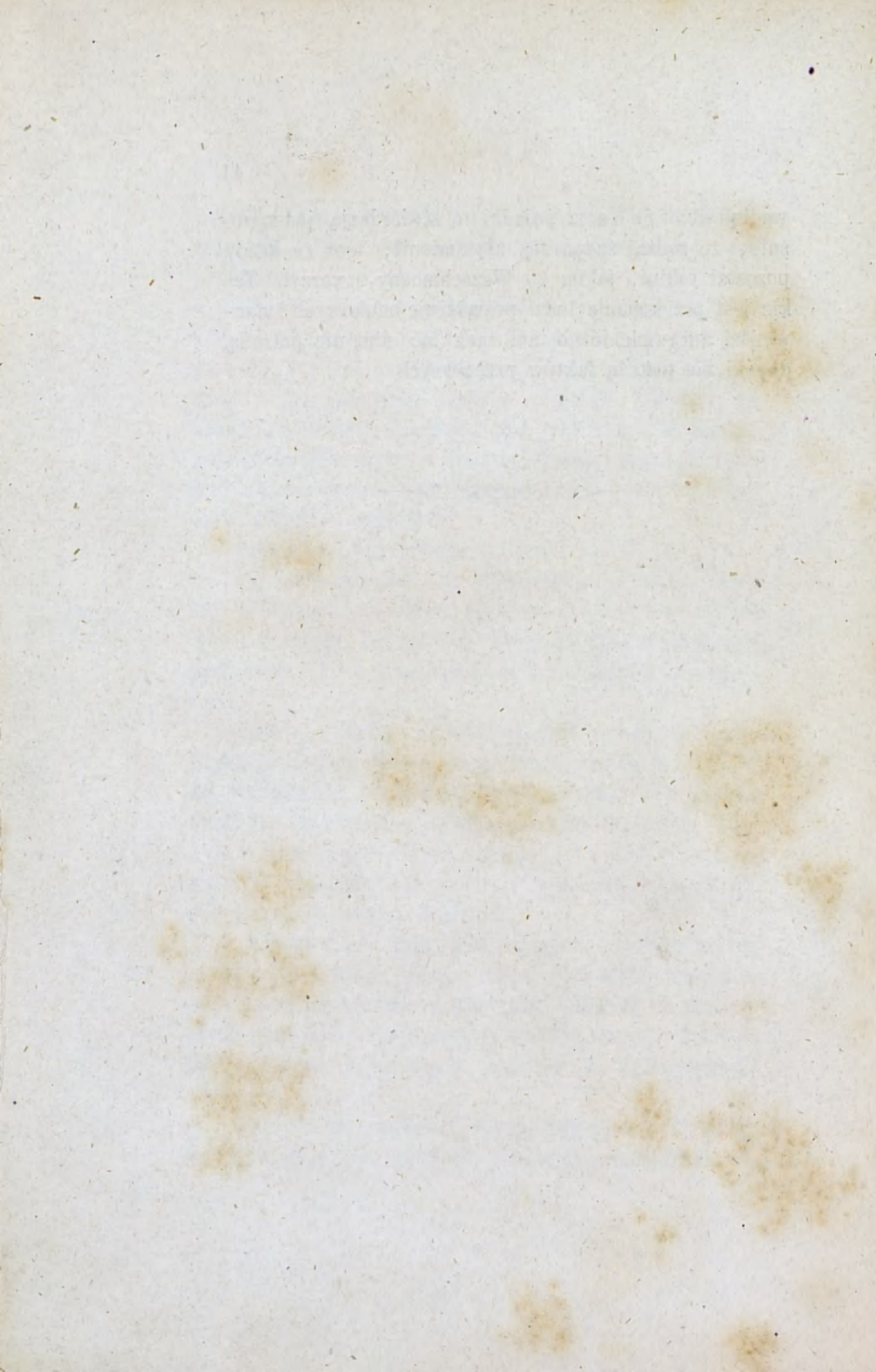
Ale Arystoteles jest zbyt młody do podobnych porównań. Możemy się cofnąć o kilka tysięcy lat do zamierzchłej przeszłości Egiptu. Mamy tu w Rzymie obeliski, pamiętające najdawniejszych faraonów. Cuvier stawał pod nimi i kopiował z nich wizerunki zwierząt. Okazały się nawet w drobnych szczegółach podobnymi do dzisiaj żyjących.

Przywieziono z grobów egipskich tysiące mumij zwierzęcych, koty, ibisy, małpy, krokodyle, wszystkie znakomicie zachowane a wszystkie podobne do dzisiejszych gatunków. Przywieziono tysiące mumij i szkieletów ludzkich, a wszystkie podobne do ludzi naszego czasu.

Na cóż tu przyzywać więcej świadków? Nie znajdziemy więcej wiarogodnych ani mniej poszlakowanych,

według Buffona, a świadki te stwierdzają jednogłośnie, że rodzaj żaden się nie zmienił, lecz że każdy pozostał takim, jakim go Wszechmocny stworzył. Takie jest przekonanie ludzi prawdziwie naukowych i daryniści ani zmienić go ani zachwiać nim nie potrafią, dopóki nie pokażą faktów przeciwnych.





CZŁOWIEK I MAŁPA.

~~~~~

Wiara w pokrewieństwo człowieka z małpą. — Jakie jej źródło. — Podobieństwo organizmu ludzkiego ze zwierzęcym. — Powszechność i dawność tego spostrzeżenia. — Badania dzisiejsze nad tym przedmiotem. — Zdanie P. Vogta. — Badania fizyologiczne. — Zdanie P. Virchowa — Geologia ostatnią ucieczką materyalistów. — Płonne nadzieje i geologia przyszłości. — Czem jest materyalizm. — Zakończenie.

Bliskie pokrewieństwo ludzkiego rodu z małpami stało się dzisiaj tak powszechną wiarą w niektórych szkołach przyrodniczych, i budzi tak nadzwyczajne zajęcie we wszystkich warstwach czytającej publiczności, dla różnorodnych wniosków filozoficznych i moralnych z niej wypływających, że dłużej tej kwestyi pomijać nie wolno, ani odmawiać jej rozbioru.

Gdyby sami ludzie niedouczeni, dla nieznajomości anatomii i fizyologii nie umiając sobie dać rady z materyalizmem, wyprowadzali siebie od orangutanów lub goryłów, byłaby rzecz znośniejsza, a nawet zasługująca na wielką z naszej strony pobłażliwość. Powiedzielibyśmy że nie zrozumieli tego, co czytali. Ale gdy ludzie fachowi powiadają, że według najnowszych badań podobny rezultat nie ulega już żadnej wątpliwości, jest doprawdy czemu się dziwić, a gdy się pokaże, iż *mała fide* tak mówią, jest nawet o co się gniewać.

Czy w istocie człowiek zpowinowacony jest z małpą? Odpowiedź powinna być spokojna, nie twierdząca nie *a priori*, a w tym celu potrzeba koniecznie rozłączyć dwa odmienne problemy: podobieństw o dwóch istot i pochodzenie tychże. Materyaliści połączyli je w jeden przymusowy sylogizm, z podobieństwa zwierząt dedukując ich rodowód. Ale to jest konkluzja wadliwa, i dosyć jest przypatrzeć się przyrodzie, aby przekonać się o dowolności takiego wnioskowania.

Bardzo podobne do siebie istoty, jak koń i osioł, jak lis i pies, nie pochodzą od wspólnych przodków. Dla czego? Bo stanowią oddzielne rodzaje, nie mogące razem wydać potomstwa płodnego. Na tej nieomylnej polegając oznace, większość poważnych zoologów wierzy, że wszystkie jednego rodzaju istoty pochodzić mogą, i prawdopodobnie pochodzą, z jednej pierwotnej pary, a przeczy stanowczo, aby dwa lub więcej rodzajów mogło, choćby w najodleglejszej przeszłości, mieć jeden wspólny rodowód. Nie przeto podobieństwo kształtów, lecz płodność, jak już zauważył Buffon, jest najgłówniejszą cechą pokrewieństwa dwóch istot.

Chociażby przeto małpa jeszcze podobniejszą była do człowieka, aniżeli jest rzeczywiście, nie można na tem opierać żadnego pokrewieństwa, przynajmniej nie można go podawać za rezultat nauki.

Widzę ze smutkiem, choć bez zdziwienia, że Darwin (już przed nim robili to wszyscy materyaliści), w najnowszym dziele swoim, bezustannie tego nienaukowego argumentu używa. Uznawszy, że między człowiekiem stojącym na najniższym stopniu cywilizacji, a najbardziej udoskonaloną małpą, jest przepaść nieprze-



była, mimo to twierdzi, że człowiek ze zwierząt pochodzi. A jednak za całą podstawę tak niezwyklego twierdzenia, i tak nienaukowej konkluzji, nie ma nic innego, jedno szczegół powszechnie znany, że człowiek przez te same przechodzi chwile rozwoju co zwierzęta, że główne części ciała jego powtarzają się w zwierzętach, że nareszcie w życiu i zwyczajach niekiedy do zwierząt jest podobny. Pierwsze rozdziały swojej książki „o pochodzeniu człowieka“ napisał bardzo bogatym materiałem faktów i spostrzeżeń, stwierdzających tę analogię.

Ale czego dowodzą te tysiączne szczegóły, tak mozolnie przez Darwina zestawiane? Doprawdy ktoś nie widzi, że człowiek jest podobny do zwierząt? Dostyć jest spojrzeć, aby się natychmiast o tem przekonać. Nie było potrzeba aż dwóch grubych tomów, aby na nowo dowieść tego, co wszyscy wiedzą. — Ale, mówią, Darwin właśnie dla tego tak skrupulatnie wykazuje podobieństwo człowieka do zwierząt, bo wypływa z tego, że sam człowiek jest zwierzęciem. Doprawdy jest to łatwa i wygodna droga, ale wątpię czy rozumny człowiek zechce stąpać po niej.

Od niepamiętnych czasów wiadomo, że człowiek jest duchem nieśmiertelnym, który przebywa w znikomem ciele. Można przeciw temu pisać, można nie wierzyć, ale to nie zmniejsza w niczem faktu powszechnej w to wiary; a nawet ci co w to nie wierzą, tak żyją, tak czynią, jak gdyby wierzyli.

Pytam, jakie powinien zająć stanowisko naturalista w obec tego faktu? Widząc z jednej strony małą, której istnienie razem ze śmiercią się kończy, z drugiej strony człowieka, z podobnem ciałem to prawda, ale o którym już tysiąc lat przed Chrystusem Panem



wszystkie ludy twierdziły, że w nim przebywa druga istota nieśmiertelna, cóż pocnie? Dajmy na to że nie wierzy, że wierzyć nie chce, że zapomniał, lub może nigdy nie poznał tradycyi chrześcijańskiej, (bo o takim badaczu tu mowa, i z takim walczymy), nie mniej jako naturalista najostrożniejszym musi być ludzi, i bardzo oględnie przystąpić do sprawy.

Mnie się zdaje, że jeżeli zachował w sobie jaką taką pogańską uczciwość, jakie takie rzetelne pragnienie wiedzy, i nieskrzywiony rozum starożytnych ludzi, zatrzyma się, zawaha, i w końcu sąd wyda, że dwie te istoty nie mają w gruncie nic ze sobą wspólnego. Bo już samo przypuszczenie, że to, co powtarzają wszystkie ludy od zamierzchłych czasów, może być prawdą, może kiedyś prawdą się okazać, odstraszy go od wszelkiej porywecej i zuchwałej hipotezy. A słysząc że tu mowa o duchu, o nieśmiertelności i o pojęciach leżących zupełnie po za granicami zoologicznych doświadczeń, (zoologia doprawdy nie mu o duszy nie potrafi powiedzieć), poprzestanie na ogólnem twierdzeniu: że chociaż małpa i człowiek mają podobne do siebie ciała, jednak o pokrewieństwie żadnem mowy być nie może, ponieważ większa i ważniejsza połowa człowieka nie należy do zoologii, niema nie wspólnego ze zwierzętami.

Cóż w tem dziwnego że człowiek ma ciało podobne do zwierząt? Darwin i jego towarzysze tak o tem mówią, jak gdyby oni pierwsi odkryli to podobieństwo. A jednak Chrześcijanie mówili zawsze, że duch Adama pochodzi od Boga, a ciało jego składa się z pierwiastków ziemi. Skoro człowiek ma ciało, będzie to ciało do czegoś podobnem. A skoro jest najdoskonalszem z ziemskich stworzeń, i jako ich król i pan

wszystkie przedstawia w swej osobie, będzie on do wszystkich pod jakimś względem podobny. Antropologia chrześcijańska zamyka się w tem krótkiem zdaniu nieśmiertelnego mędrca z Hippony: *omnis creaturae aliquid habet homo*. (hom. 29 in Evang.).

Materyaliści udają zadziwionych, że człowiek, niby lepsza i wyższa istota, tak się rodzi, rośnie, rozwija, żywi i umiera, jak inne zwierzęta. Doprawdy jest i czemu się dziwić! Skoro wola Najwyższego opowołała do bytu istotę, duchem sięgającą nieba, a ciałem pełzającą po ziemi, zawieszoną między wielkością powołania swego, a lichością pochodzenia, zaiste ciało jej przypomni ciała inne, tak jak duch jej przypomina ducha Bożego. I nie to nie ubliża godności naszej, że cielesne podobieństwo nasze pada właśnie na zwierzęta, te po rodzaju ludzkim najdoskonalsze twory ziemskie. Jak świat roślinny podobny jest z wielu względów do świata nieorganicznego, bo tych samych praw słucha i tej samej podlega konieczności; jak zwierze w wielu funkcjach żywotnych powtarza w sobie życie rośliny, tak i człowiek, skoro dostało się mu ciało złożone z pierwiastków materii, podobnym będzie do ciał innych, i podlegać będzie prawom materii. — A że każde ciało więcej jest podobne do bliżej aniżeli do dalej stojących w rozwoju organicznym, będzie oczywiście człowiek podobniejszym do małpy, aniżeli do wielbłąda lub foki, bo z wszystkich organizmów najdoskonalszy jest zwierzęcy, z wszystkich zwierząt najwięcej rozwinięte są zwierzęta ssące, a z wszystkich ssących najwyżej stoją małpy.

Cóż więc dziwnego, powtarzam, że istota obleczone w ciało, a królująca innym stworzeniom, podo-



bniejszą jest do małpy, aniżeli do reszty zwierząt, a podobniejsza do zwierząt w ogóle, aniżeli do roślin. A jak zwierzęta z innych względów podobne są do roślin, a z innych znowu do anorganicznych tworów, tak i człowiek „czuciem do zwierząt podobny, jak mówi Augustyn św., z roślinami wspólne ma funkcyje wegetacyjne, a z kamieniami wspólne prawa bytu. Wszystkie rodzaje stworzeń powtarza on w swej osobie. *Omnis creaturae aliquid habet homo. Habet namque commune esse cum lapidibus, vivere cum arboribus, sentire cum animalibus.*

Zresztą nigdy nie przeczo to temu podobieństwu, i najniesłuszniej w świecie ubolewają niedowiarki, że dawniej go nie znano, lub że naturalści, w ultramontańskich zasadach wychowani, zmniejszali je o ile mogli. Mnie się zdaje przeciwnie, że w starożytności grzeszono w tej materyi przesadą, bo chociaż nie znano małp tak podobnych do człowieka jak dzisiaj, (pierwsze orangutany przybyły do Europy dopiero w 17 wieku, a pierwsze wiadomości o gorylach mniej więcej w r. 1848), przyjmowano mimo to zupełną anatomiczną tożsamość. A gdy wyobrażenia religijne i obyczaj sprzeciwiały się surowo krajaniu trupów, (odważniejsi lekarze podobno czasem wylamywali się z pod tego prawa, mianowicie w Aleksandryi), używano małp do sekcji anatomicznych w mniemaniu, że anatomia małpy najdokładniejsze daje wyobrażenie o anatomii człowieka. Zwyczaj ten, ostatecznie ustalony powagą Galena, przetrwał średnie wieki; przez cały ten ogromny przeciąg czasu nie znano z kądinąd budowy ciała ludzkiego, jeno z analogii, jaka zachodzi między niem a organizmem małpy.



Doprawdy nie można było ani głośniej wypowiedzieć, ani wyraźniej stwierdzić podobieństwa dwóch typów. A gdy w siedemnastym wieku przywieziono z wyspy Borneo pierwsze orangutany, i dowiedziano się, że w języku krajowców nazywają się „ludźmi leśnymi“, nikt się temu nie dziwił; zostawiono im nazwę, a nikt nie protestował. Gdy nakoniec sto lat później wielki Linneusz, układając system swój zoologiczny, zestawiał orangutana z człowiekiem i kilkoma jeszcze czworonożnymi bestiami w jednym szeregu prymatów, nikt się na to nie oburzył, zadawalniano się bowiem tem, że Linneuszowy człowiek nazywał się: *homo sapiens*, skutkiem czego orangutan musiał poprzestać na skromniejszej nazwie: *homo insipiens*.

Podobne niedokładności zoologiczne były zresztą dozwolone w czasach, gdy znano bardzo powierzchownie zwierzęta zamorskie, gdy nie było ani muzeów, ani zwierzyńców dla nich urządzonych. Ale dzisiaj, choć posiadamy gatunki małp podobniejsze do człowieka od samych orangutanów, znając je jednak daleko lepiej i gruntowniej aniżeli przodkowie nasi, podobnych niedokładności już nieznosimy, i poważniejsi badacze śmieją się głośno z mniemanego pokrewieństwa naszego z gorylami. Uczony anatom Aeb'y, którego nawet p. Vogt szanuje, przedrwiwa zapalonych Darwińczyków, których własne ich badania i odkrycia tak daleko zawiodły, że już nie mogą się pomiędzy człowiekiem a małpą żadnej różnicy dopatrzeć. „Doprawdy, mówi on, czasem na widok rezultatów, do jakich dochodzą nauki ścisłe, dziwne budzą się we mnie myśli, tak i w tym razie, z niepowiązanych, sprzecznych nawet urywków, potrafiłoby wyciągnąć najśmielsze wnioski.“ (Aeb'y, o kształ-

tach czaszek ludzkich i małpich, w Lipsku. 1867, str. 71).

Zgadzamy się również z tym uczonym autorem, gdy mówi na innem miejscu, że im głośniejsze i dobitniejsze twierdzą się podobne rzeczy, tem więcej badać trzeba podstawę, na której się opierają. Pragnąc zaś oddalić od siebie zarzut stronniczości w przedstawianiu faktów, dotyczących się naszego przedmiotu, postanowiłem opierać się w dalszym ciągu jedynie na znanych materyalistach, a nawet, o ile się to da uczynić, własnymi ich słowami sprawę wytoczyć i rozebrać.

Szósty z „odeczytów o człowieku“, (Giessen 1863) poświęcił Karol Vogt różnicom zachodzącym pomiędzy człowiekiem a małpą; i zaiste jeżeli kto, to p. Karol Vogt nie był powinien ich podnosić zbyt często, skoro w tychże samych prelekcjach zaręcza, że niewątpliwie rodzaj ludzki od małp pochodzi. (Tom II str. 279).

Na pierwszy rzut oka, mówi on, uderza człowiek prostą postawą, której żadne zwierze czworonożne nie przybiera, chyba na czas krótki i wyjątkowo. A jakkolwiek twierdzono, że niektóre małpy z wielką łatwością chodzą na tylnych łapach zwyczajem ludzkim, to jednak p. Vogt temu przeczy, bo żadna małpa w stanie dzikim nie chodzi inaczej jak na czworakach, (mowa tu o chodzie ciągłym i regularnym), jakkolwiek w tem chodzeniu u rozmaitych rodzajów rozmaite napotyka się modyfikacje.

I nie w tem nie masz dziwnego, bo cała budowa zwierzęcego ciała obrachowana jest na chód czworonożny. I tak, podczas gdy człowiek prostopadle dźwiga głowę na karku, i swobodnie porusza nią na wszystkie strony, głowa zwierzęcia schodzi się z karkiem pod kątem



rozwartym, który więcej lub mniej się zbliża do prostego. Z tad wynika jako niezbędna antyteza, odrębny kształt karku, z bardzo silnemi i elastycznemi więzami, które głowę z ciążącą na dół paszczką trzymają w należytem zawieszeniu. Charakter ten, prawdziwie zwierzęcy, bynajmniej u małp się nie zatarł: a chociaż kąt, pod którym głowa zawieszona, więcej do ludzkiego zbliżony, jednakże kończyny grzbietu znacznie wystają, i są otoczone nadzwyczaj grubemi mięśniami i więzami, co się zdybuje tylko u zwierząt, aczego w żadnym człowieku nikt nigdy nie widział.

Podobna różnica jak w pozycyi głowy, uderza nas także w ramionach. Swobodnie z boku ciała zawieszone, zdolne są one u człowieka do najtrudniejszych poruszeń, i do prac najzawilszych. Podczas gdy wszystkie zwierzęta ssące używają przednich kończyn (gdy im nie służą do lotu lub do pływania) za podpórę ciała w chodzeniu, ramiona człowieka, jak widać z ich położenia i stosunku do ciała, zupełnie są niezdadne do tego rodzaju funkcyi. A to co powiedziano, tyczy się nawet małp najbardziej do człowieka podobnych, bo chociaż mają ramiona i ręce jak człowiek, mimo to, gdy im wypada po równej biegać ziemi, już po kilku susach lub chwiejnych krokach, opierają się zawsze na zawartych pięściach.

Słynny paryski zoolog Milne-Edwards miał pomysł bardzo szczęśliwy, i płodny w następstwa. Ażeby dokładnie oznaczyć stopień doskonałości w pojedynczych zwierzęcych organizmach, uciekł się do idei, której nowożytny przemysł zawdzięcza swój nie słychany rozwój, do idei specjalizowania pracy. Oto jak rozumuje: Im doskonalsze jest zwierze, tem różno-



rodniejsza jest praca przypadająca na organa ruchu. Gdy cztery nogi jedynie do chodzenia służą, oczywiście praca przez nie wykonywana jest najprostszą i najgrubszą; gdy zaś przednie nogi opatrzone są chwytne łapami jak u bobra, lub wiewiórki, praca staje się rozmaitszą i doskonalszą, itd. Z tego więc względu małpa stoi wyżej od konia lub owcy i wszystkich innych zwierząt, gdyż ma cztery chwytne łapy, cztery ręce, które nie tylko do chodzenia jej służą, lecz i do wielorakiej innej roboty.

Ale też z tego samego względu małpa jest nieskończenie niższą od człowieka, bo chociaż ręka, w sobie wzięta, doskonalszym jest organem od nogi, służącej jedynie do chodzenia, to jednak cztery ręce, zmuszone zarówno i chodzić i chwycić, wadliwszą są organizacją, aniżeli dwoje rąk i dwoje nóg, nierównie doskonalej rozwiniętych, wykonywujących osobno swoją specjalną pracę.

Gdy od użycia przejdziemy do proporeyi organów ruchu, nowe odsłonią się nam różnice, i tak: według ogólnego i stałego prawa, człowiek ma od małpy krótsze ramiona a dłuższe i silniejsze nogi. Tę różnicę każdy od razu spostrzeże, kto się małpie w menażeryi przypatrzy, najlepiej to jednak widać, gdy małpa i człowiek staną na czworakach. Podczas gdy ona bez trudności grzbiet swój ustawi równolegle do ziemi, musi człowiek, chcąc tego dokazać, ramiona nie miłosiernie wypreżyć, i zgiąć kolana.

Ale nie wszystkie małpy mają ramiona tejże samej długości co nogi, lecz co gorsza i niewątpliwie brzydsze, są i takie, które mają ramiona daleko dłuższe. Gdy obok człowieka najwięcej do niego podobne

małpy staną w szeregu, w prostej postawie, jak rekruci, okaże się natychmiast, że człowiek palcami sięga tylko do połowy uda, goryl palcami dostaje do kolan, szympanś do połowy golenia, a orangutan ów „człowiek leśny“ nawet do kostek. Doprawdy nie można sobie wyobrazić bardziej krzyczącej różnicy.

Równie wielkie przeciwieństwa okażą się, gdy porównamy stopę ludzką z łapą zwierzęcia. Vogt nawet znajduje w niej jedną z charakterystycznych różnic obu rodzajów (tom I str. 175), a już przed Vogtem inny materyalista, Burmeister, nazwał nogę ludzką „charakterem ludzkości.“ (Geologiczne obrazy. Lipsk 1851. Tom I str. 63).

Te istotne różnice, w ślad za p. Vogtem przez nas podniesione, tak są widoczne, że formalnie leżą jak na dłoni: a jest ich więcej jeszcze, w budowie piersi i miednicy, w udach i t.d., nie potrzebujemy jednak wszystkich przytaczać, i zastanowimy się jeszcze tylko nad różnicą głowy, tej najszlachetniejszej części organizmu człowieka i zwierząt.

I zaiste nigdzie niema tyle różnic, ani tak widocznych. Ażeby więc mózdz je objąć wszystkie należycie, trzeba zwyczajem anatomów rozdzielić głowę na dwie zupełnie odrębne części, na czaszkę, i na twarz lub pysk, gdy mowa o zwierzęciu. Czaszka, jak odkryli niezależnie od siebie Gete i Oken, pierwszy w r. 1790, a drugi w r. 1806,<sup>1)</sup> jest dalszym ciągiem kręgów szy-

---

<sup>1)</sup> Spierano się o pierwszeństwo tego odkrycia. Jest niewątpliwem, że Gete przechadzając się w r. 1790 po cmentarzu żydowskim w Wenecyi, gdy służący wydobyl z pod piasku rozbity czaszkę barania, znalazł nagle ową „ideę zwierzęcia“ której już od lat wielu szukał. Co do Okena, to sam



jowych, ich najwyższym rozkwitem i zakończeniem, bo zrośnięciem trzech nad miarę powiększonych kręgów. Tym sposobem czaszka i kręgi szyjowe stanowią jedną organiczną całość, podczas gdy twarz (pysk) jest tylko przyczepionym do niej dodatkiem, zupełnie jak żebra, lub miednica, przymocowane są do kości pacierzowej, ale nie stanowią z nią całości organicznie zrośniętej.

Nawet nie anatom: od razu dostrzega, że twarz i czaszka w głowie ludzkiej w przeciwnym do siebie stoją stosunku a niżeli w głowie zwierzęcej. „Twarz ludzka, powiada Vogt, t. j. trójkąt pomiędzy brwiami, uszami i brodą, jest małym przyczynkiem do czaszki.“ I rzeczywiście, czaszka wznosząc się czołem nad brwiami, skroniami po bokach, a kością potyliczną ponad otworem potylicowym, formuje potrzebną jamę dla nieproporcjonalnie wielkiego mózgu. Przeciwnie małpa ma bardzo małą mózgownicę, czoło prawie żadne, a za to wysoko sterczące brwi. Potylicowy otwór łączący mózg z młeczem, który u człowieka mniej więcej w środku, lub nawet w pierwszej połowie spodniej czaszki się mieści, u małpy leży na tylnym brzegu, podobnie jak u innych zwierząt.

Różnica ta ogromna i zasadnicza pomiędzy głową człowieka a głową małpią, sprawia w każdej z nich odmienną, że się tak wyrażę, topografią. Pysk małpy leży zawsze przed czaszką, i niejako ją poprzedza, podczas gdy twarz ludzka nie przed czaszką, ale pod nią

---

opowiada, że w r. 1806 podczas podróży w Harcu, znalazł czaszkę zwietrzałą łani, a wtedy od razu zabłysła mu myśl, że czaszka składa się z kręgów. Mniemam jednak, że Jeneński anatom pierwsze zarodki tej myśli zawdzięcza Getemu, sam ją później samodzielnie wypracował.



jest zawieszona. Jeżeli dodamy ogólne spostrzeżenie, że czaszka ludzka zawsze jest większa od twarzy, a małpia zawsze daleko mniejsza od pyska, możemy kardynalną tę różnicę wyrazić w krótkim jednym zdaniu, że głowa ludzka jest przedewszystkiem czaszką, a głowa małpy przedewszystkiem pyskiem.

To ogólne spostrzeżenie można stwierdzić liczbami, a wtedy wzajemny stosunek obu części głowy daleko jaśniej się uwydatni. Proponowano rozmaite sposoby wymierzania głowy, co nie jest łatwą do uskutecznienia rzeczą, dla jej kulistej a nie równej powierzchni. Z różnych metod w tym celu używanych weźmiemy najprzód tak zwany kąt Kampera, który choć nie jest wolny od pewnych niedokładności, a nawet nie zachodzi zupełna zgoda co do wierchołka jego, jednak jest on z wszystkich sposobów najprostszy i najłatwiejszy, a gdy piszący nie może tekstu swego objaśniać rysunkami, najlepsze dający wyobrażenie o wzajemnych proporcjach głowy.

Powstaje kąt ten, (tak większość zoologów przyjmuje), gdy od przednich zębów górnej szczęki pociągniemy jedną linię do najwybitniejszego punktu na czole, a drugą do ucha. Widoczna, że kąt ten obejmuje większą część twarzy, i w tym też celu Kamper go wymyślił. Będzie on tem większy, im bardziej czoło wystaje, tem zaś mniejszy, im bardziej czoło się cofa lub znika. Ponieważ z drugiej strony, wypukłość czoła i wielkość jego ściśle się łączą z ilością mózgu, a tem samem i oznaką inteligencji, przeto można absolutnie ustanowić prawo, że im czaszka jaka jest inteligentniejsza, tem większy jest kąt Kampera, a tem mniejszy,

im bardziej czaszka jest zwierzęcą, t. j. im bardziej czoło znika, a paszczeka wysuwa się naprzód.

W europejskich czaszkach kąt Kampera zazwyczaj chwieje się pomiędzy  $70^{\circ}$ — $85^{\circ}$ , u mniej rozwiniętych ludów będzie on oczywiście mniejszy, u murzynów wynosi tylko  $67^{\circ}$ , a u dzikich Makojasów z południowej Afryki spada nawet do  $64^{\circ}$ : najmniejsza to ludzka czaszka, jaką znamy dzisiaj <sup>1)</sup>. Jakże jednak daleko od niej do największych czaszek małpich! W dorosłym szympanse tenże kąt nie przenosi  $35^{\circ}$ , a w orangutanie dochodzi tylko do  $30^{\circ}$ . Proporcya ta wymownie pokazuje całą zwierzęcość głowy małpiej, stwierdzając niezmierną jej odległość od głowy człowieczej.

Oprócz kąta Kampera można jeszcze wiele innych poczynić wymiarów na głowie, a wszystkie pokazują uderzające różnice: przytoczymy jeszcze parę ważniejszych.

Objętość wewnętrzna mózgowej jamy, wyrażona w calach kubicznych, wynosi u Anglika 96, u Malajczyka 86, u murzyna tylko 82, a u Australczyka spada nawet do 75. I znowu pokazuje się ten sam niezmierny przedział, który nas uderzył w kącie Kampera. Najdoskonalsza mózgownica zwierzęca goryla zawiera tylko 30 cali kubicznych, a szympansa i orangutana tylko 28.

Posłuchajmy tu przez kilka chwil samego p. Vogta: „Chociaż goryl mniej więcej tegoż wzrostu co australski murzyn, jednakże mózgownica drugiego o półtora razy większa, a stosunek ten jeszcze korzystniejszym okaże

---

<sup>1)</sup> Rozumie się że tu mowa o głowach zdrowych i normalnych; anormalne czaszki n. p. kretynów i tym podobne, nie wchodzą w tę rachubę.



się dla murzyna, gdy wspomniemy, że nogi goryla stosunkowo są krótsze, a kadłub zato większy i potężniejszy.“ (Prelekcye o człowieku. Tom I. str. 182). Dodaje tenże autor, że najmniejsza mózgownica ludzka, wymierzona przez p. Mortona, a nie pochodząca od idioty, zawiera jeszcze 63 cale kub.: podczas gdy największa znana czaszka goryla obejmuje tylko  $34\frac{1}{2}$  cala; i to są ostateczne granice głowy ludzkiej i zwierzęcej.

Kogo te liczby nie przekonały dostatecznie, ten z innej strony przystąpić może do naszej kwestyi. Gdy głowę przetniemy wzdłuż i poprowadzimy linię prostą od kości nosowej do kości potylicznej, mniej więcej cztery piąte z tej linii przypadają u człowieka na długość mózgu, tylko jedna piąta na długość twarzy. Gdy całą tę linię podzielimy na 100 równych części, wynosi długość mózgu u Europejczyka tychże części 89, u Australczyka 78,7, — u orangutana 47,7, a u goryla 45,9; — tem samem pozostaje na długość twarzy u Europejczyka 11, u Australczyka 21,3, u orangutana 52,3, a u goryla 54,1.

I znowu wypisujemy kilkanaście słów p. Vogta: „Jakkolwiek rzecz obrócimy, i z którejkolwiek strony ją rozważymy, pozostaje zawsze potężna przepaść pomiędzy układem ludzkiej głowy a małpiej, wynikająca z wzajemnego stosunku twarzy do czaszki. W żadnej małpie, nawet najbardziej do człowieka podobnej, nie dochodzi długość mózgu do połowy długości całej głowy, podczas gdy u człowieka najmniej rozwiniętego, długość twarzy małą tylko wynosi część długości całej głowy, gdyż u Australczyka nawet nie dochodzi do jednej czwartej.“



Słowa te czytamy u p. Vogta na str. 283 tomu I. jego wspomnianych odczytów, a bezstronny czytelnik przyzna bez wątpienia, że nawet zdaniem najgrubszego materyalisty nie tylko pod tym ostatnim względem, ale pod względem całego układu ciała, nieprzebyta przepaść dzieli człowieka od małpy. Dodam, że w tym punkcie p. Vogt ma wszystkie powagi naukowe za sobą <sup>1)</sup>. Ale idźmy dalej.

Przypatrywaliśmy się dotąd człowiekowi i małpie powierzchownie i anatomicznie, porównując szkielety, budowę ciała i inne niektóre właściwości dorosłych indywiduów, a spuszczając zupełnie z uwagi rozwój dwóch tych istot. Potrzeba nam więc koniecznie od tego co nieruchome i martwe przejść do ruchu i życia, od anatomii do fizjologii. Tu już pożegnamy p. Vogta, a pójdziemy za gruntowniejszym przewodnikiem, prawdziwym fizjologiem. Słynny profesor berliński Virchow, głośny liberał, a głośniejszy jeszcze materyalista, choć bardzo przyzwoity i wystrzegający się starannie rubaszości Vogtowskich, wydał w r. 1870 krótką, ale pełną

---

<sup>1)</sup> Znakomity Aeby, po długich porównawczych studyach, przekonał się także, że w wielkim szeregu zwierząt ssących, stanowiących jakoby nieprzerwane stopniowanie, nie masz próżni podobnej do tej, która dzieli człowieka od małpy. Nawet najmniej rozwinięta czaszka ludzka tak się oddala od najwięcej rozwiniętej czaszki małpiej, a tak się zbliża do normalnego ludzkiego typu, że lepiej byłoby, tak radzi p. Aeby, w imię porównawczej morfologii nie wspominać więcej o podobieństwie dwóch tak różnych od siebie stworzeń. Bo nawet zewnętrzne, powierzchowne podobieństwo nie jest tak wielkie, jak zwykle sądzą, a pod każdym innym względem odstęp małpy od człowieka tak jest ogromny, a tak nieznanym między nią a resztą zwierząt, że trudno pojąć, jak jeszcze ludzie fachowi bronią tego pokrewieństwa.

dalekonośnych rezultatów rozprawkę: Czaszka ludzka i czaszka małpia, (*Menschen- und Affenschädel*, Berlin 1870), w której kwestyę obecnie nas zajmującą rozbiiera fizylogicznie. Nie potrzebujemy szukać lepszego i mniej podejrzanego przewodnika.

A najprzód, żeby nie stracić nic z tej rozprawki, powiemy, że w niej p. Virchow w tem, cośmy dotąd traktowali, popiera nas zupełnie, dodając bowiem jeszcze uwagę, że u małp kość pacierzowa jest zakończoną ogonem, i że nietylko orangutan „człowiek lasów“, lecz wszystkie bez wyjątku małpy z predylekcyą drapią się na drzewa, i na nich jako w prawdziwej swej ojczyźnie stale przemieszkują: wypowiada stanowczo to, co już przytoczyliśmy jako rezultat badań p. Vogta, że głęboka przepaść dzieli człowieka od małpy, i że dotąd żaden kształt pośredni tej przepaści nie wypełnił (str. 25—27).

Przejdźmy jednak na pole fizylogiczne, na którem, nie chcąc nic zostawić bez odpowiedzi, odeprę przede-wszystkiem utarty już sofizmat, przez p. Virchowa wprowadzie nie podniesiony, przez innych, drobniejszych materyalistów często jednak powtarzany, który doskonale małuje płytkość tej doktryny. Polega on na tem, że embryony (zarodki) różnych zwierząt bardzo są do siebie podobne, lub nawet nie różnią się wcale, przeto, mówią materyaliści, wszystkie te zwierzęta rodzą się z jednego gatunku. Ale ztąd, że zarodki w pierwszych chwilach istnienia swego wszystkie do siebie podobne się z dają, nie wynika wcale, aby niemi były rzeczywiście. Po miesiącu, nawet po tygodniu, nieraz po dniu jednym, pokazują się nadzwyczajne różnice, których przedtem nasz wzrok niedoskonały i niewprawny



dostrzedz nie umiał. Gdyby tych różnic nie było od samego początku, gdyby, jak Darwin mówi, embryony człowieka, psa, foki, nietoperza rzeczywiście były tem samem, wtedy byłby największy cud ten, że embryon człowieka zawsze się rozwija w człowieka, a nigdy w psa, embryon foki zawsze w fokę i t. p. Różnica ciepła, pokarmu i innych okoliczności zewnętrznych, na rozwój zarodka wpływających, tak absolutnej stałości jednego z najważniejszych praw natury w żaden sposób wytłumaczyć nie może, różnica ta bowiem, zależąc od przypadku, nie jest stałą, nie zawsze jest, a jeżeli jest, między dwoma jednostkami tego samego rodzaju często jest nierównie większą, jak między jednostkami dwóch bardzo nawet odległych rodzajów. Gdy zważymy, że stałe skutki nie mogą mieć przyczyn przypadkowych, i że te same przyczyny niemogą mieć różnych skutków, (co scholastycy wyrażają krótką formułą: „*idem facit idem*“), okaże się cała próżnia materialistycznego twierdzenia. Bo ani stałość zachowania rodzajów nie może mieć swej przyczyny w okolicznościach przypadkowych ciepła, pokarmu etc., ale musi je mieć w zarodku samym, ani różnica rodzajów nie da się pogodzić z tożsamością zarodków <sup>1</sup>). Nie zatrzymując się więc dłużej nad tym śmiesznym zarzutem, przechodzimy do kwestyi ważniejszych.

<sup>1</sup> Opowiadają, że sławny amerykański antropolog Agassiz, włożywszy jakiś zarodek w spirytus, zapomniał przyłożyć napisu, a w jakiś czas potem sam nie mógł już rozpoznać, czy to był zarodek ptaka, czy ssącego zwierzęcia, czy gadu. Tym to faktem posługują się Darwiniści niepomni, że embryonów dalszym rozwojem byłyby sam niewątpliwie powiedział o sobie, czem jest. Rzecz aż nadto widoczna, że podobieństwo embryonów dowodzi tylko niedokładności naszych oczu, nie zaś tożsamości istot.



Niektórzy materyaliści podnoszą głośno szczegół, że głowa młodego małpiątka prawie w niczem się nie różni od głowy niemowlątka. A wtedy któż wie? Może dawniej, w korzystniejszych warunkach..... może kiedyś..... na co przesądzać o przyszłości! Szczegół ten jest powszechnie wiadomy, i nie myślimy, ani nie mamy potrzeby go taić.

Tak jest, dwa te stworzenia w pierwszych chwilach istnienia swego mają główki nadzwyczajnie do siebie podobne: pyszczek małpiątka jest bardzo mało rozwinięty, szczeki są jeszcze mało i prawie nie naprzód nie wysunięte, oko i brwi bardzo łagodne, nawet miłe, ciemnie gładko wypukłe, a cała czaszka uderzająco podobna do czaszki dziecięcej. Jakto! zawoła nie jeden, mogliby mieć materyaliści rację, że kiedyś, przed wiekami, natura tem podobieństwem złudzona, zrobiła z małpiątka człowieka? Broń Boże! P. Virchow, któremu niewierzyć nie mamy powodu, uspakaja nas szybko, przytaczając fakt równie jak poprzedzający powszechnie znany, że „z każdym miesiącem, z każdym rokiem czaszka małp, nawet najwięcej do człowieka podobnych, staje się mniej podobną do czaszki ludzkiej“ (str. 23).

U dorosłego goryla n. p. uderza nas na pierwszy rzut oka potężna głowa, ale cóż w niej jest wielkiego? Nie czaszka, która nie wyrosła, nie naczynie i miara dla mózgu, prawdziwe znamie człowieczeństwa, lecz pysk, który z wiekiem wysunął się naprzód, ogromny i dziwnie brzydki, pokazując nam kły potężne. Doprawdy nie można dobitniej oddać charakteru bestyjalnego, jak przez tę okropną przewagę pyska nad mózgiem, która się z czasem dokonuje. To samo dzieje się i u innych

małp, a porównując każdą dorosłą małpę z małpiątkiem widzimy, że u niej przeciwnie jak u człowieka: „rozwinęły się tylko organa prawdziwie zwierzęce, narzędzia karmienia i oddychania, podczas gdy z wszystkich części głowy najmniej w małpach rośnie mózg<sup>1)</sup> (str. 25).

W całym zresztą organizmie małpy tenże rozwój odbywa się wręcz przeciwnie aniżeli w człowieku. Przewszystkiem pamiętać trzeba, że małpa krócej żyje, a prędzej dojrzewa, co także jest zasadniczą różnicą, jak i to, że małpa, jak większość zwierząt ssących, przychodzi na świat więcej rozwiniętą aniżeli człowiek.

Chociaż nie znamy długości życia małp antropomorficznych, jednak wielkie jest prawdopodobieństwo, że nie dochodzą do lat, w których zazwyczaj ludzki organizm dopiero rozwój swój kończy. Tyle pewna, że zupełnie są rozwinięte, kiedy człowiek zaledwo poczyną być młodzieńcem, a płodzą potomstwo, kiedy człowiek jest jeszcze dzieckiem.

Gdy zastanowimy się dalej nad porządkiem, w jakim pojedyncze części małpiego organizmu rozwijają się ostatecznie, to i tutaj napotykamy zupełnie inne stosunki jak w organizmie ludzkim. Mózg n. p. małpy jest już rozwinięty, zanim zaczyna się odmiana zębów; w ludziach przeciwnie, mózg na dobre się rozrasta z wy-

---

<sup>1)</sup> Sławny Bismhoff, który długo studyował porównawczą anatomię mózgów, doszedł do takiej konkluzji: mózg człowieka i mózgi trzech najwyższych małp, stojących orangutana, szympansa i goryla, bardzo są do siebie podobne, gdy je ogólnie przyrównamy do mózgów innych zwierząt. Analizując jednak mózgi czterech owych stworzeń z osobna, widzimy z zadziwieniem, że nigdzie w szeregu zwierząt nie masz podobnego skoku, jak pomiędzy mózgiem człowieka, a mózgiem orangutana lub szympansa.



rzynaniem się zębów drugich czyli stałych. Po dokonanej tej odmianie zębów, która u małp prędzej się odbywa aniżeli u człowieka, dostają one dopiero tego strasznego pyska, o jakim wyżej wspominaliśmy.

Skoro więc we wszystkich chwilach i częściach swoich, rozwój u małpy inaczej się odbywa aniżeli u człowieka, jasna rzecz, że nigdy z małpy nie może powstać człowiek, ani z człowieka urodzić się małpa. I tu znowu wracamy do nieoszacowanej rozprawy prof. Virchowa. Oto co pisze:

„Gdy zważymy, że mózg małp antropomorficznych zawiera wszystkie zasadnicze części mózgu ludzkiego, i że mózg dziecka wielkością nie bardzo się różni od mózgu małpiatki, wyciągniemy z tąd wnioski oczywiste, że jest chwila pewna, w której rozwój małpy i rozwój człowieka rozchodzą się w drogi zupełnie przeciwne. A zatem, im więcej małpa się rozwija, tem więcej staje się niepodobną do człowieka. Nawet największa małpa posiada mózg dziecka, podczas gdy pysk jej równa się prawie wołowemu. Jasna więc rzecz, że nigdy przez rozwój małpy nie może powstać człowiek, że przeciwnie, właśnie rozwój ten jest przyczyną owej głębokiej przepaści, dzielącej człowieka od małpy <sup>1)</sup> (str. 25).

<sup>1)</sup> W przypuszczeniu, że niejednen z czytelników przeczyta z przyjemnością sąd uczonego antropologa p. Quatrefages w tejże kwestyi, podaję odnośny ustęp z jego popularnych odczytów o człowieku: „Mózg jest niezaprzeczenie ze względu na kwestyę, którą się zajmujemy, narzędziem najważniejszym, czy to u człowieka, czy u małpy... Wszyscy zgodnie kładą największą wagę na znamiona w nim występujące. Jakże więc odbywa się rozwój mózgu u małpy, a jak u człowieka? Mogę w kilku słowach wykazać fakt zadziwiający. Cała masa mózgu zawarta,

Jakżeż więc wypada nam obecnie odpowiedzieć na pytanie: czy rzeczywiście jest możebnem, aby człowiek pochodził z którejkolwiek z małp żyjących, jak to twierdzili i twierdzą niektórzy naturaliści. Ogólną na nie odpowiedź dałimy przed niedawnym czasem w *Przeglądzie*, w uwagach nad systemem Darwina. Powiedzieliśmy, że zwolennicy angielskiego materyalisty, wbrew wszelkim doświadczeniom zoologów, wyprowadzają jeden rodzaj zwierząt z drugiego. Razem z ich hipotezą upada także wymyślona przez nich genealogia człowieka. Ale obecnie odpowiedź nasza na tym podobne wymysły może być specyalniejsza, a jest stanowcza i prosta:

Nieprzebyta przepaść dzieli dziś człowieka od małpy, dowodzi Vogt; nigdy przez rozwój małpy nie może powstać człowiek, dodaje Virchow. Oto ostatnie zdanie koryfeuszów materyalizmu, oto ostatnie słowo anatomii i fizyologii.

Cóż więc począć, jak tu waleczyć z naukami, o których się tak głośno mówi i które się tak wysoko wynosi!

Ale i na to jest sposób. Ostrożniejsi materyaliści,

---

w mózgownicy, rozpada się na różne części. Zastanówmy się nad dwiema, nad zawojem przczołowym i nad zawojem przyskroniowym. Widoczna jest, że u zwierząt, które łączą węzły pokrewieństwa, wzrost tych dwóch zawojów powinien się odbywać tym samym sposobem. A jednak, co do tego punktu jest między człowiekiem i małpą zupełne przeciwieństwo. U człowieka najpierw rozrasta się i najpierw dojrzewa zawój przczołowy, a na końcu zawój przyskroniowy. U małpy przeciwnie tworzy się najprzód zawój przyskroniowy, a potem zawój przczołowy. Niepodobna aby dwie istoty pochodziły jedna z drugiej, których rozwój odbywa się przeciwnie“.



bo Vogt swemi wybrykami zbyt znacznie już skompromitował ich sprawę, nie wyprowadzając człowieka z małp żyjących, czemu najelementarniejsza nauka stoi na przeszkodzie, lecz odsyłając nas do jakiejś istoty pośredniej, która nie była ani małpą, ani człowiekiem, a z której rozeszły się dwa oddzielne szczepy. Po milionach dopiero lat, po wymarciu wszystkich ogniów łączących te szczepy, oddaliły się one od siebie tak bardzo, i tak mało stały się do siebie podobne, jakto dziś widzimy. Cała więc nadzieja tych uczonych polega na tem, że są, i że nawet znajdują się ludzkie szkielety podobniejsze do dzisiejszych małpich, lub odwrotnie, szkielety małp, podobniejsze do ludzkich dzisiejszych. Te pośredniki są kwestyą żywotną dla Darwinistów, i dlatego rozmaite poczynili zabiegi, aby je jakimkolwiek sposobem wynaleźć.

P. Vogt, którego żywa wyobraźnia nigdy nie jest zakłopotana, gdy potrzeba nadzwyczajnych środków zaradczych, widząc że pono przyjdzie rozstać się ze słodką nadzieją wynalezienia ludzi więcej od murzynów do małp podobnych, lub małp więcej od goryłów podobnych do człowieka, boć przeszukano już wzdłuż i w szerz całą ziemię, postanowił wyratować siebie i materialistów z tej toni, doprawdy rozpaczliwym konceptem.

Wiadomo, że czasem w dzieciach powtarza się typ dziadka, lub dalszego przodka. Powrót ten do dawniejszego typu, z pominięciem rodzicielskiego, nazywa się atawizmem. Otóż p. Vogt bierze krety, biedne istoty, o małych głowach, dla nierozwiniętego mózgu wskazane na ciągłą głupotę, za pierwotny i na nowo powracający typ antenatów naszych, a ponieważ ich czaszki bardzo są podobne do małpich, nie ulega we-

dług niego żadnej wątpliwości, że był czas, kiedy pierwsi ludzie w niczem się zgola od małp nie różnili.

Ta nauka jednak, niedorzeczna i płaska, stawiająca zamiast Stwórcy kretyzizm u kolebki rodzaju ludzkiego, doczekała się zasłużonego losu, bo została wyśmiana przez wszystkich poważnych badaczy. A eby, prof. anatomii w Bernie, dowiódł jej autorowi, że to rzecz niesłychana, aby organizm chorobliwy miał być protoplastą organizmu zdrowego. Bo chociaż się zdarza, że dla przyczyn nam niewiadomych ze zdrowych rodzi-ców nieraz rodzą się kretyny, nie widziano jednak nigdy, aby z kretynów cokolwiek się urodziło.

Virchow, zbijając twierdzenie Vogta, jakoby czaszka kretyna w niczem się nie różniła od czaszki małpiej (str. 31), podnosi potem niedorzeczność hipotezy ze stanowiska fizyologii. Darwinizm, tak on argumentuje (str. 31), tłumaczy powstanie nowych rodzajów przez walkę o życie. Ale jakże może powstać rodzaj, złożony z indywiduów niedołężnych, niezdolnych do propagacyi, ani do jakiegokolwiek walki. Kretyn rodzi się nieudolnym i takim zostaje, małpa przeciwnie, przychodzi na świat z przedziwnym instynktem i z nadzwyczajnymi zdolnościami. Kretyn zatem, tak kończy p. Virchow, jest chorobliwie człowiekiem zmienionym, to prawda, ale nie jest małpą.

Vogt i przyjaciele jego przywodzą na poparcie swej hipotezy dawne czaszki, stanowiące według nich, jeżeli nie przejście zupełne, to przynajmniej zbliżenie do małpiego typu. Nie mam zamiaru poruszyć tutaj na nowo kwestyi o dawności rodzaju ludzkiego, tem bardziej, że ona w tej chwili nas nie obchodzi. Materyaliści opierając się na twierdzeniu, którego mają dowiesć,



a dotąd dowieść nie potrafili, powiadają, że im jaka czaszka starsza, tem więcej przypomina typ zwierzęcy. Nie chcąc się więc z nimi spierać o dawność czaszek, przyjmujemy je za bardzo stare, a zobaczymy, czy się to im zda na co.

Vogt wyznaje, że nieliczne czaszki znalezione w nawodziskach (Tom II. str. 175 i nast.) nie różnią się od dzisiejszego typu szwajcarskiego. Wspomniany już prof. A e b y dokładnie wymierzył czaszki duńskie, z tak zwanej epoki kamiennej, a zatem uchodzące za bardzo stare, i przekonał się, że prawie zupełnie się nie różnią od czaszek dawnych Egipcyan. Bardzo stare czaszki brazylskie, przechowywane teraz w Kopenhadze, nie różnią się od czaszek dzisiejszych tubylców Brazylii. Pozostają dwie jeszcze czaszki, okrzyczane za najstarsze z pomiędzy znanych. Jeżeli gdzie, to na nich zaiste powinno być wyryte pokrewieństwo z typem zwierzęcym. Materyaliści często o nich mówią, dla tego nie możemy pominąć ich milczeniem.

Pierwszą z nich znaleziono w Engis nad Mezą. Nie zachowała się w całości, bo brakuje niemal całej twarzy, a z tego już widzimy, że rozumowania oparte na tak ułomnym okazie nie będą bardzo dokładne. O ile jednak z rozmiarów sądzić można, nie ma ta czaszka w sobie nic zwierzęcego; czoło jest wypukłe, mózgownica nie różni się prawie od mózgownie Grenlandczyków, tubylców Australii lub innych plemion dzikich. Warto doprawdy czytać, jak biedny Vogt się męczy (Tom II. str. 68 i nast.), aby ją podać koniecznie za bardzo podobną do zwierzęcych, a w końcu jednak wyznaje, że stoi w środku pomiędzy czaszką Australczyka i Eskimosa (Tom II str. 73), i że nawet

pojedyncze czaszki tego rodzaju, jak widać z porównawczej tablicy Welkera, napotykają się u Francuzów, Finlandczyków i Holendrów. Sądzę, że gdyby nie namiętna nienawiść do tradycyi chrześcijańskiej, byłaby ta ostatnia uwaga przekonała p. Vogta, że okrzyczana czaszka z Engis niczego nie dowodzi, a gdyby była nawet gorzej uformowaną, któż mu powiedział, że i ona nie była wyjątkową wśród czaszek swego plemienia. Ale z materyalistami trudna w dysputowaniu sprawa, i nie widzą, nie słyszą nic, prócz swoich przesądów.

Inny materyalista, mający daleko większą powagę w anatomii, anglik Huxley, o resztkach tej samej czaszki wydał sąd odmienny. Chociaż gorącym jest wielbicielem Darwina, i małego pochodzenia ludzi, umie on panować nad sobą, i patrzy trzeźwiej na rzeczy. Opisawszy dokładnie pojedyncze części wspomnianej czaszki, dochodzi do takiej konkluzji: „Wyznaję, że w resztkach tej czaszki nie niema takiego, po czem-by można odgadnąć rasę, do której należy; rozmiary jej zgadzają się z czaszkami australskimi, a nawet z niejedną czaszką europejską. Tyle pewna, że nie nosi ona na sobie żadnych śladów jakiegokolwiek duchowego upośledzenia, jest to nawet piękna czaszka, o średnich rozmiarach, która mogła zarówno należeć do filozofa, jak do bezmyślnego dzikiego człowieka. (*Zeugnisse für die Stellung des Menschen in der Natur*. Przekład Caxusa. Brunświk 1863, str. 174).

Niewątpliwie powinien sąd takiego Huxleya ciężko zaważyć na szali, tem bardziej, że p. Vogt, jak się czytelnicy przekonali, żadnego argumentu przeciw niemu niema. Możemy więc śmiało raz jeszcze z Hux-



leyem powtórzyć, że czaszka z Engis niczego zgoła nie dowodzi w sprawie pochodzenia człowieka.

Druga czaszka, także uszkodzona, znalazła się wraz ze szkieletem w dolinie Neandra, pomiędzy miastami Elberfeld i Düsseldorf. Jest ona bardzo spłaszczona, ma znaczne wypukłości nad oczami, czoło płaskie i wąskie, nawet cokolwiek wklęsłe. Materyaliści z niektórzy wielkiej radości nie widzieli już żadnej różnicy pomiędzy tą czaszką a małpą, a inny biedny angielski niedowiarek, p. King utworzył czem prędzej dla niej osobny rodzaj, stojący w środku pomiędzy nami, a małpami. Nazwał go: „homo Neanderthalensis“. Oczywiście farsa nie długo trwała, homo Neanderthalensis się nie wychował, posłużył tylko publiczności za dowód, że ojciec jego był: *homo insipiens*.

Poważniejsi uczeni mówią o tej czaszce z wielkim spokojem. Przytaczam, jak to czynić zwykłem, zdania kilku materyalistów, przewodzców szkoły.

Lyell uważa czaszkę tę za tak wyjątkową, a wiek z którego pochodzi za tak niepewny, że wcale nie może służyć za odpowiedź na pytanie, czy dawniej był rodzaj ludzki więcej podobnym do małpy, aniżeli dzisiaj.

Huxley ze swej strony zaręcza, że ta czaszka ze wszystkich dotąd znanych najwięcej wyraża typ małpy, ale że bynajmniej nie dowodzi istnienia pośredniej istoty. Co najwięcej można powiedzieć, że pochodzi od człowieka, który miał w głowie swojej coś małpiego. Jednakże i ten oględny i spokojny sąd Huxleya nie zupełnie jest ścisły, trzeba go w części uzupełnić pracą anatoma Szaafhausena, który pierwszy szkielet w Neanderthalu odkrył, wymierzyli opisał.

Sam Huxley dodaje, że podobieństwo z małpą tylko do czaszki się odnosi, pozostało niejako i na powierzchni, bo nie odbiło się w organizmie. W istocie, szkielet ma rozmiary Europejczyka średniego wzrostu, o bardzo silnych kościach. A co daleko ważniejsza, według prof. Szaafhausena, zawartość mózgownicy dochodzi do 75 cali kub. Jestto zwykły mózg australski, lub hottentocki. Możemy więc, i powinniśmy nawet, w obec tych szczegółów sąd p. Huxleya cokolwiek zmodyfikować.

Powinniśmy się zarazem zapytać, czem się to dzieje, że ludzie uczeni, na widok kości, których wiek tak jest niepewny, iż według Lyella mogą nawet pochodzić z czasów rzymskich, kości, nieróżniących się w niczem od szkieletów dzisiejszych Europejczyków, nagle podnoszą okrzyk radości, i mniemają mieć przed sobą nadaremnie szukanego małpozwierza. W obec takiego, ciągle powtarzającego się faktu, musimy dojść do przekonania, że zaiste są ludzie, mieniący się uczonymi, którzy już *à priori* postanowili człowieka wyprowadzić z małpy, i gorączką trawieni korzystają z każdej sposobności, aby wystąpić ze swoją niedorzeczną utopią.

Skoro już mowa o czaszkach, nie możemy pominąć jednego jeszcze odkrycia, które zrobił p. Vogt. A dobrze jest zapoznać się z tego rodzaju odkryciami, bo nasi filozofowie liberalni, z p. Libeltem na czele, mają nadzwyczajny szacunek dla p. Vogta, chwalą go polskiej publiczności, jako gruntownego badacza, a nawet propagują zasady jego. Może więc być, że i to odkrycie do nas wprowadzą, a może nawet w przedhistorycznym Czeszewie znajdą się czaszki dawno wygubionych plemion, popierające teorię p. Vogta.



Otóż p. Vogt, studyując dwie czaszki z Engis i z Neanderthalu, zastanowił się w Berneńskim muzeum nad inną, bardzo do nich podobną. Podobieństwo to niespodziane zachęciło go do dalszych poszukiwań, narreszie po różnych muzeach szwajcarskich, i w grobach starożytnych, znalazło się z dziesięć czaszek, mniej lub więcej podobnych do owych przedhistorycznych, a nawet zaręcza p. Vogt (Tom II str. 74), że w niektórych z nich podobieństwo do czaszki z Engis jest nadzwyczajna.

Ale jaki wiek naznaczyć tym czaszkom? Jeżeli się okażą nie bardzo staremi, to i starożytność dwóch czaszek z Engis i z Neanderthalu zniknie, bo jedynie dla anatomicznej budowy swojej uważane są za tak bardzo dawne. P. Vogt, w towarzystwie kilku innych uczonych, znalazł w końcu czaszkę z tej kategorii w starożytnym grobie helweckim, a obok niej srebrny pierścień, na którym przeczytano napis: *venatus*. Nie ulega więc wątpliwości, że grób ten, jako i niektóre inne miejscowości, w których znaleziono czaszki podobne, pochodzą z ostatnich czasów rzymskiego panowania w Helwecyi, z początku V, lub najdalej z końca IV stulecia.

Do kogo należą te czaszki? Nie są ani rzymskie, ani helweckie, mówi p. Vogt, a zatem muszą pochodzić od cudzoziemców. Już ta konkluzya bardzo jest lekko-myślna, bo i cóż dziwnego, gdy wśród helweckiej ludności, gdzie zresztą tyle się rodzi kretynów, których czaszek, jak sam p. Vogt na innem miejscu mylnie twierdzi, nie można odróżnić od czaszek małpich, cóż dziwnego że tam znajdzie się kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt głów, bardziej od innych podługowatych i bardziej spłaszczonych!

Ale p. Vogt, któremu nienawisć do chrześcijaństwa rozum odbiera, nie poprzestaje na tem. Wymyślił on inny rodowód tych czaszek. Szczupła ich liczba pokazuje, mówi on, że pochodzą od cudzoziemców, którzy widocznie bez rodzin przybywali i nie zostawiali potomstwa; a ponieważ w ostatnich czasach rzymskiego imperyum przybywali, jak wiadomo, do Szwajcaryi chrześcijańscy misyonarze z Irlandyi, więc oni to niewątpliwie zostawili te czaszki. Że głowy ich przypominają stale typ małpy, nie powinno nikogo dziwić, to nawet rzecz zupełnie naturalna, bo to przecież chrześcijańscy misyonarze!

Ustęp ten charakterystyczny, który z wielu podobnych wybrałem, godny doprawdy Dra Wunderlich z doskonałej powieści Bollandena: *Die Unfehlbaren*, niech posłuży za przykład, jak podle i głupie zarazem rzeczy drukują niemieccy profesorowie materyalizmu.

Z samego faktu my inny zupełnie wniosek wyprowadzamy. Jeżeli w IV. i V. wieku po Chrystusie, znajdują się czaszki podobne jak dwie krople wody do czaszek przedhistorycznych, to w cóż się obróci przedhistoryczność tychże, oparta jedynie na ich kształcie. Przypisywać zaś te czaszki celtyckim misyonarzom, już nie jest anatomią, lecz śmiesznym anatomicznym humbugiem praktykowanym na coraz większe rozmiary przez zwolenników pogańskiego kultu materji i przedchrystusowej ciemnoty.

A teraz czas już streścić to, cośmy dotąd powiedzieli. Wyznania materyalistów w tej całej sprawie są otwarte i jasne.

I. Małpa anatomiczną budową ciała różni się nieskończenie od człowieka. Na



to zgadzają się: Vogt, Virchow, Darwin, Huxley i wszyscy inni.

II. Fizyologowie uważają za niepodobne wszelkie pokrewieństwo małpy z człowiekiem, ponieważ dwie te istoty rozwijają się według praw różnych, w odmiennych zupełnie kierunkach.

III. Dotychczasowe badania geologów i naturalistów dowodzą, że żadnych pośrednich kształtów, wypełniających przepaść między człowiekiem a małpą, nie masz i nie było.

Materyaliści nie przeczą tym faktom stwierdzonym przez pierwszorzędných anatomów, fizyologów, geologów i naturalistów, nie przeczą, bo nie mogą.

Ale umykając jak nietoperze przed światłem prawdziwej nauki, odwołują się do — przyszłości! Vogt, Huxley, Darwin, powtarzają jednoznacznie, że pośrednie formy się znajdują, że się znaleźć muszą, że zapewne leżą w nieznanych krajach lub pod wodami mórz.

Mogą socjaliści zapalać się do jakiejś idealnej „republiki przyszłości,” może pewien świat muzykalny marzyć o „muzyce przyszłości,” wolno i materyalistom mieć swoją: Geologię przyszłości. Niech nam tylko nie każą brać na seryo nauki, która się na podobnej mrzonce opiera.

Niekiedy wielcy myśliciele, od trybunału nauki, który ich potępił, apelowali do sądu pokoleń przyszłych, a te unieważniały wyrok pierwszy. Ale nie robili tego nigdy bez dowodów, bez dokumentów. Bez nich apellacya dozwoloną być nie może, i nie ma trybunału, któryby ją przyjął — chyba trybunał nieuctwa lub złej wiary. Snać o tym trybunale wiedzą materya-

liści, i znają jego dzisiejszą moc i potęgę, kiedy pozbawieni wszelkiej prawnej podstawy, jednak apellują.

Ale na nie im się to nie przyda w obec ludzi poważniejszych, przeciwnie, tym ostatecznym krokiem zrzucają z siebie nakoniec płaszczyk, za który się tak zręcznie chować umieją, i ci, co tak głośno mówią o swej miłości do prawdziwej nauki, wywracają nakoniec wszelką naukową metodę. Jeżeli bowiem wolno brać dowody na kredyt, nie ostoi się ani jedna naukowa prawda, zawsze znajdzie się ktoś, co od niej założy rekurs do przyszłości, do przyszłych wynalazków, odkryć i do następnych pokoleń. A to już nie nauka, to tylko nauki płytkie, małpowanie i naukowe szalbierstwo.

Czytelnikom wydadzą się może nasze konkluzye niedostateczne, i wyznają, że pod pewnym względem na zarzut ten zasługują. — Traktowaliśmy o człowieku zupełnie jak gdyby był czystem zwierzęciem, chociaż mówiliśmy, że anatomia i fizjologia nie obejmują całego człowieka. Ale chcieliśmy stanąć zupełnie na polu materialistów, a nawet pomimo znużenia ich płytkością, pomimo wstępu do ich cynizmu, szliśmy za nimi, aby ułatwić im walkę i pokazać, że nawet z ich zasad, z wykluczeniem wszelkiej wyższej nauki, jedynie polegając na fizjologii i anatomii, trzeba pokrewieństwo nasze z małpami uważać za fałsz gruby.

Jednakże wywrócenie materialistycznej hipotezy, i okazanie jej nicości, nie jest jeszcze całą prawdą. Analiza błędów nie jest synteza, lecz tylko przygotowaniem do niej. Synteza leży po za fizjologią, po za zoologią i anatomią. Człowiek będąc co do ciała zwierzęciem ssącym, ciało jego tylko należy do tych nauk, ale najważniejsze znamię jego, duch nieśmiertelny, i



przeliczne wypływające z tąd objawy, modyfikujące nawet jego życie zwierzęce, należą do nauk innych. Gdy się do tych ostatnich nauk po światło udamy, wtedy i na nasze dzisiejsze pytanie otrzymamy odpowiedź inną, bo zupełniejszą; wtedy, zrozumiawszy daleko lepiej całą istotę ludzką, zdumiejemy się nad przepaścią leżącą pomiędzy nią a zwierzętami. Ale to odkładamy już do następnych artykułów.



332157

II





Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000379251



II 332157

---

Z drukarni Karola Budweisera.

---